Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 22 | Niedziela, dnia 30 maja 1926 roku | Rok 2

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 85
Telefon Nr. 45-50
Godziny przyjęć: od 5—7 ppoł.
prócz niedziel i świąt
Konto w P. K. O. Nr. 63,353.

Przedstawicielstwa Redakcji i Administracji:
w WARSZAWIE: Alfred Wilecki, Wilcza 16, tel. 305-07
w POZNANIU: Jan Kozubski, Skarbowa 7, tel. 28-58

PRAWDA

Cena egzemplarza 30 groszy
W prenumeracie z dostawą do domu 4 zł. na trzy miesiące
Konto w P. K. O. Nr. 63,353

NIEZALEŻNY ORGAN TYGODNIOWY

Treść numeru

GŁOS SUMIENIA OBYWATELSKIEGO.
WOBEC ZGROMADZENIA NARODOWEGO.
BEZ PROGRAMU.
POZNAŃ.
NIE ROZWIĄZYWAĆ SEJMU. — *P. Z.*
GDZIE SĄ WALUTY Z EKSPORTU? — *Dr. Roger Battaglia.*
SOCJALIZM I LIBERALIZM. — *Prof. Z. Straszewicz.*
TYMCZASOWOŚĆ W NASZEM SZKOLNICTWIE. — *Nik.*
POD SŁOŃCEM SZATANA. — *Józef Jankowski.*
TEATRY WARSZAWSKIE. — *Alfa.*
RYNEK PIENIĘŻNY I GIEŁDA. — *Awil.*

Sprawy tygodnia

GŁOS SUMIENIA OBYWATELSKIEGO.

Profesor uniwersytetu lwowskiego, Dr. Eugenjusz Romer, znany polski geograf, a przedewszystkiem głęboki myśliciel, który ostatnio bardzo często dzielił się na łamach prasy ze swojemi trafnemi spostrzeżeniami gospodarczemi, opublikował w środę w „Kurjerze Lwowskim" obszerny artykuł p. t. *„Konsekwencje buntu Piłsudskiego"*.

Artykuł wywołał olbrzymie wrażenie, gdyż prof. Romer jest członkiem Związku Ludowo-Narodowego (Narodowa Demokracja) i należał do wybitnych współpracowników pism prawicowych, jak „Warszawianka" „Słowo Polskie" i t. d.

W artykule owym stwierdza prof. Romer, że kult Piłsudskiego jest w tej chwili narodową cechą społeczeństwa, a władza Piłsudskiego jest emanacją masowego władztwa duszami tego kultu narodowego.

W dalszym ciągu pisze następująco:

„Z taką masową suggestją spotykamy się w dziejach Polski po raz pierwszy. Kiedy i w jaki sposób powstał w naszych oczach ten kult nie wiemy, choćby dlatego, żeśmy ten kult zwalczali, a w ciągłości walki nie widzieliśmy jak ten kult mężniał i coraz dalsze zataczał kręgi.

Biada nam, jeżeli dalej w ślepocie i nienawiści trwać będziemy. Walka z głębokim kultem szerokich mas narodu jest przeciwstawieniem się energji kinetycznej w narodzie, jest więc samobójstwem.

Artykuł powyższy kończy prof. Romer następująco pod adresem stronnictw prawicowych, w których szeregach do tej pory walczył:

„Złóżcie broń. Uszanujcie uczucia przewagi rodaków i żyjcie dla samej pracy, dla tej radości, którą daje nam widok rosnącej budowy. Tymczasem na samym przodzie narodu stoi Piłsudski, on będzie, on musi rządzić. Nie uwierzę przenigdy, by umysł i serce jego były bez programu, by Piłsudski nie umiał rządzić".

* * *

Myśmy w poprzednim numerze „Prawdy" pierwsi rzucili hasło rewizji dotychczasowego stosunku prawicy, kół gospodarczych i stronnictw umiarkowanych wobec marszałka Piłsudskiego. Artykuł ten p. n. „Rachunek sumienia" przyniósł nam niezliczone objawy wdzięczności i uznania ze strony naszych czytelników, rozsianych po całej Rzeczypospolitej i przynależnych do wszystkich prawie sfer i klas społecznych i obozów politycznych.

Jak długo marszałek Piłsudski z Sulejówka wpływać chciał na bieg polityki państwowej, nie zdradzając chęci przyjęcia na siebie odpowiedzialności zań — zajmowaliśmy stanowisko krytyczne wobec jego poczynań, wnoszących pewien zamęt i niepewność do funkcji machiny państwowej i stwarzających gniazda oporu i opozycji.

W chwili jednak, gdy stanął na widowni i gotów jest wobec Rzeczypospolitej ponosić odpowiedzialność zarówno za wypadki, które jego wystąpieniu towarzyszyły, jak i za dalszy bieg rzeczy, a pierwszymi czynami dowiódł, że za szczytnymi hasłami moralnymi, w imię których wystąpił, nie kryje się nic, co mogłoby okazać się groźnem dla interesu narodu, społeczeństwa i Rzeczypospolitej, takiego, jakim rozumieją go najświatlejsze umysły, nieprzyćmione doktryną partyjną, ani sekciarstwem partyjnem nieopętane, gdy wreszcie, aż nazbyt widoczny jest wysiłek z jego strony, aby oczyścić drogę do porozumienia z uczciwą opinją publiczną ze wszystkich najdrobniejszych nawet grud i kamieni, narzucanych tam w dniach „rewolucji" przez czynniki obce, pragnące wystąpienie Piłsudskiego wyzyskać do własnych partyjnych czy społecznych celów, krytycyzm nasz musiał się zwrócić przeciw tym, którzy czy to dla „zasady" czy z nieufności, usprawiedliwionej po części tylko w przeszłości, czy wreszcie z bezcelowego, a nawet szkodliwego żalu i rozpaczy od wszelkiego porozumienia się i wszelkiej współpracy się uchylają.

Aby porozumienie to i tę współpracę przyśpieszyć „zmieniliśmy" nasze przekonania, bo nie wolno nam w interesie naszej Ojczyzny żadnej sposobności do porozumienia i zgodnej współpracy unikać, chyba, że porozumienie to i ta współpraca okupione zostały szkodliwymi dla Rzeczypospolitej materjalnymi koncesjami. Krew żołnierza polskiego jest ceną najwyższą i najświętszą.

* * *

Krok profesora Romera niewątpliwie przemówi do sumienia tych wszystkich, którzy jeszcze się wahali, zwłaszcza że w międzyczasie enuncjacje marszałka stwarzają dalsze jeszcze możliwości do porozumienia się i szczerej współpracy.

* * *

WOBEC ZGROMADZENIA NARODOWEGO.

W poniedziałek ma się zebrać Zgromadzenie Narodowe, aby obrać Prezydenta Rzeczypospolitej. Kandydaturą, która nasuwa się sama przez się, jako naturalne zakończenie ostatnich wypadków i wstrząsów, jest i pozostanie kandydatura Józefa Piłsudskiego. Nie pójdziemy tak daleko w entuzjazmie, jak prof. Romer, którego sensacyjną i zbawienną zarazem w tej chwili opinję przytaczamy na innem miejscu, aby aż twierdzić, że Piłsudski ma program i potrafi rządzić, ale oceniając trzeźwo i bez uprzedzeń wytworzone położenie i opierając wnioski na dotychczasowych konkretnych faktach i autoryzowanych opinjach i enuncjacjach marszałka, dochodzimy do takiego wyniku: Piłsudski reprezentuje w tej chwili siłę nietylko moralną, niedającą się bliżej określić, ale przedewszystkiem potężną siłę realną. Ma za sobą — nie mówiąc o armji, bo ta w dźwiganiu i spełnianiu zadań państwowych na terenie wewnętrzno-politycznym i gospodarczo-społecznym nie powinna wchodzić w grę — opinję, sentyment przywiązania, sugestję olbrzymiej części społeczeństwa, a co najważniejsze mas, które dotychczas zasilały swymi głosami i postawą różne partje i partyjki. Pod tym względem skutecznie stanąć może obok obecnego sejmu i dobrem prawem będzie mógł domagać się od niego przelania nań pewnych uprawnień.

Piłsudski pozatem jest w zgodzie z tą większością społeczeństwa — z masami, które przedstawiają olbrzymią siłę twórczą i karną. Jeśli tu i ówdzie nadgryza te masy demoralizacja, to zarazki idą od góry, od rozwiniętej demoralizacji życia parlamentarnego, które dzisiaj decyduje o życiu mas. I on przedstawia siłę twórczą, a nie burzącą. Przy odrobinie dobrej woli, niekrępowanej wtłoczonymi w mózgownicę „zasadami" partyjnymi, trzeba to przyznać rozważając taktykę Piłsudskiego i jego słowa.

Pozostaje pytanie, czy Piłsudski potrafi rządzić. Wątpliwości pod tym względem istnieją zapewne, to też gorliwie wyzyskują je przeciwnicy tej kandydatury, malując czarno losy państwa pod jego rządami.

Ale to jest zagadnienie drugorzędne. Lepiej nawet byłoby, aby Piłsudski nie umiał rządzić. Niechaj ma tylko zdolność odczuwania potrzeb państwa. Technikę takiego kierowania aparatem państwowym, aby potrzeby te były zaspakajane pozostawmy rządowi.

Tragedją naszą było dotychczas to właśnie, że mieliśmy zdolnych i bardzo nawet zdolnych techników - twórców programów państwowych, ale nie znajdowali oni takiego oparcia dla swych zamierzeń i planów, aby spokojnie i na najkrótszej drodze mogli je wykonywać. Grabski Władysław, jeden z takich zdolnych i silnych ludzi załamał się a z nim jego dzieło, chcąc wobec braku oparcia ukradkiem, okrężnymi drogami, usypiając czujność przeciwników w sejmie, plany swoje zrealizować.

Chciał wybudować fortecę, a udawać musiał, że buduje karczmę. Co ukradkiem w nocy zrobił, w dzień musiał maskować, a natrętnych wścibskich bakszyszem zdala trzymać. Oczywiście, że plan okazał się złudzeniem a wysiłek daremnym. Pozostały gruzy i.... długi.

Sejm i senat rozumieją doskonale ten stan rzeczy. Widzą w Piłsudskim konkurenta, roszczącego sobie takie samo prawo do wyrażania woli społeczeństwa jak ogół posłów i senatorów. To też przed tym walnym aktem nie naradzają się z wyborcami, lecz między sobą i w gronie partyjnem.

Zgromadzenie Narodowe przyniesie nam szereg niespodzianek. Spodziewać się należy, że najliczniejsze będą kartki białe. Spodziewać się również wolno, że mało znajdzie się kandydatów, którzy chcieliby obok Piłsudskiego starać się o ten urząd. Zbyt oczywistem jest, że wszelki inny wybór byłby dziełem przypadku a nie wyrazem woli społeczeństwa, które pragnie ciągłości rządów rozumnych, co gorsza, że byłby może owocem porozumienia na warunkach z interesem państwa niewiele mających wspólnego.

* * *

BRAK PROGRAMU.

Opinja publiczna w Polsce, a także zainteresowane wypadkami w Polsce czynniki zagraniczne zastanawiają się z niepokojem i niecierpliwem wyczekiwaniem nad zagadnieniem: co będzie w Polsce dalej?

— Piłsudski zlikwidował rząd posła Witosa, który stawał do pracy z jakimś programem politycznym i gospodarczym, aprobowanym przez dużą część opinji publicznej i przychylnie ocenianym przez zagranicznych fachowców, którzy wprawdzie Polski na oczy nie widzieli i o istotnych stosunkach w Polsce mają pojęcia dość mętne, ale się na tych sprawach znakomicie znają, dalej Piłsudski przyczynił się do rezygnacji Prezydenta Rzeczypospolitej i rząd, powołany wprawdzie formalnie i zgodnie z konstytucją, postawił całkowicie w swoim cieniu, tak że fizjonomja całego rządu i poszczególnych jego członków straciła wszelką wyrazistość, ten Piłsudski, który w tej chwili jest faktycznym dyktatorem w Polsce, nie reprezentuje przecież żadnego programu.

Mówi wprawdzie coś o konieczności umoralnienia życia publicznego, ale nie wyjaśnił nigdzie i nikomu, co pocznie z tem umoralnieniem wobec zaognionej w Polsce kwestji socjalnej, wobec ostrego kryzysu finansowego, wobec zachwianej i podminowanej waluty, wobec zamierania produkcji przemysłowej i wegetującej na martwym punkcie produkcji rolniczej, wobec klęski bezrobocia, jednem słowem wobec tych wszystkich trosk i zagadnień, które z matematyczną dokładnością i systematycznością pchają Polskę ku bankructwu gospodarczemu i w odmęt anarchji społecznej, których nie uda mu się tak składnie i szybko zlikwidować, jak rządu posła Witosa. Na to, aby z tem wszystkiem się uporać, trzeba przedewszystkiem kredytów zagranicznych, niebylejakiej zręczności politycznej, dobrej waluty — a któż pożyczy Piłsudskiemu względnie rządowi Piłsudskiego, albo innego, jeśli niema pewności, że wypadki warszawskie nie powtórzą się jutro w innem mieście, lub nie będą miały jakiegoś innego równie nieoczekiwanego dalszego ciągu?

Obawy i wątpliwości słuszne z pewnego stanowiska. Piłsudski nie reprezentuje żadnego konkretnego kierunku polityki państwowej, nikomu niewiadomo, aby miał jakiś program, lub z czyimś programem sympatyzował, nie reprezentuje wreszcie żadnej określonej i dającej się pomieścić w formach naszego legalizmu siły. Jest dla większości w społeczeństwie siłą nieznaną, a więc wzbudzającą wśród wielu strach i obawy, tem większe, że nieokreślone, a u innych nadzieje, najskrajniejsze, bo również nieokreślone. Jedni, którzy cierpliwie znieśliby rządy najokrutniejszego tyrana, wołają dlatego „ukrzyżować, ukamienować go!" — bo niepewność i lękliwe wyczekiwanie są dla nich nie do zniesienia, bo muszą mieć w życiu pewniki, drudzy wierzą w niego, jak w mesjasza.

Kwestję programu wysuwają ci pierwsi.

* * *

Stańmy na chwilę na punkcie wyższym, z którego ogarnąć będziemy mogli zarówno horyzont pierwszych, jak i mglisty widnokrąg drugich, stańmy na kapitańskim mostku naszej nawy państwowej, i wolni od wszelkich uprzedzeń, zbadajmy, czy ten, który przychodzi tam w obecnych warunkach, aby osobiście objąć kierownictwo, czy też, aby kierownictwu dawać obowiązujące wskazówki i rady i wziąć na siebie odpowiedzialność za ich skutki, powinien przyjść z gotowym planem, czy też opracowanie planu i wytycznych dla kursu odłożyć na dalszy termin.

Jeżeli na pokładzie jest wszystko w porządku wzorowym, jeśli załoga jest na swoich miejscach i karna, jeśli maszyny w dobrym stanie i paliwa dosyć, trzeba mieć jakiś plan, któryby uzasadnił pojawienie się u steru. Plan ten musi być oparty na znajomości rozporządzalnych środków, ich zdolności użytkowej, musi być wnioskiem, wyprowadzonym z istniejących niewzruszalnych i sprawdzonych przesłanek.

Ale gdy okręt zdezelowany, załoga rozwydrzona, zdemoralizowana, maszyny zrujnowane i zaniedbane, paliwo w szczupłych ilościach i rozwleczone po różnych kątach— siła ludzi, wytrzymałość maszyn nieznana i nigdy niesprawdzana — plan, wypracowany

na zasadzie nielicznych tylko przesłanek, w dodatku niesprawdzonych, musi być przeszkodą. Niewolnicze trzymanie się nakreślonych w nim wskazań i postanowień, przy silnej woli jego twórcy lub wykonawcy, stwarza jeszcze jedno nowe niebezpieczeństwo dla statku i załogi: że katastrofa nastąpi prędzej i niespodziewaniej.

Polska podobna jest do takiego właśnie okrętu. Kwestja społeczna zaogniona, antagonizmy klasowe objawiają się w formach najostrzejszych, aparat gospodarczy w rozkładzie, drogocenne jego części, zawalone łomem bezużytecznym, rdzewieją, zapoznane a raczej nieznane, kapitał rozgromiony, wyparty z naturalnych łożysk, marnuje się w niewłaściwych miejscach, stan narzędzi drogocennych nieraz niesprawdzony, przeznaczenie ich w systemie gospodarczym czy politycznym często nieznane, jednem słowem, chaos.

Wobec chaosu każdy szczegółowy plan zakrawa na kpiny. Tylko Bóg z chaosu planowo dzień po dniu tworzył świat. Ale Bóg jest wszechwiedzący, jest przeszłością i przyszłością. Człowiek wobec chaosu może mieć tylko myśl, aby wiedział, do czego dąży. Przychodzić z planem byłoby zarozumiałością i próżnością.

Dlatego to widzieliśmy już tyle startych na proch wielkości, które z szumnymi planami na mostek kapitański występowały, dlatego ich „planowe" wysiłki chaos tylko powiększyły i niebezpieczeństwo katastrofy zbliżyły.

Piłsudski nie wyjawiał żadnego planu, wierzymy, że go niema, ale wyjawił swoją myśl: chęć organizowania życia państwowego na zasadach moralności. To jest więcej, niż ktokolwiek dotychczas przyrzekał w najowacyjniej witanych planach i programach.

Ponieważ nie powiedział, według jakiego kodeksu moralności zamierza postępować, mamy prawo sądzić, że podług tego, który obowiązuje w świecie cywilizowanym.

W każdym razie w grupach i koterjach, które moralność tę uważają za przesąd, gdy chodzi o stosowanie jej wobec drugich, już zaczyna się przeciw Piłsudskiemu podnosić krzyk — dobry to znak.

Istnieliśmy w chaosie i znosiliśmy tak długo „planowe" eksperymenty — nie zginiemy z pewnością, jeśli przez pewien czas pozostaniemy w nieświadomości co do szczegółowych punktów programu państwowego. Plan i program zaczną wyłaniać się same z chaosu, gdy tylko pierwsze kroki: rozejrzenie się w całości i pobieżna przynajmniej ocena szczegółów najgrubszych, będą postawione.

My tu na tem miejscu nieraz już wykazywaliśmy nicość różnych szumnych planów — dlatego brak planu u Piłsudskiego nas nie przeraża. Czekamy na pierwsze jego lub jego rządu czyny państwowe i z nich wnioskować będziemy o jego zdolnościach, siłach i wartości jego zamiarów.

Poznań

Podczas gdy na obszarze całej Rzeczypospolitej zapanowało uspokojenie umysłów i pogodzenie się z nowym porządkiem rzeczy, w Poznaniu i Poznańskiem nadal umysły są wzburzone i zapał walki nie opada.

Prawda, że b. dzielnica pruska, wychowana w żelaznej karności wobec prawa, odznacza się wrodzonem i głęboko zakorzenionem poczuciem legalności i silniej odczuła wstrząs warszawski, niż inne dzielnice, ale czy tylko temu przypisać należy nieustające wrzenie w umysłach tamtejszej dzielnicy?

Sądzimy, że nie, że działają jeszcze inne przyczyny. Na terenie poznańskiego działają dwa silne stronnictwa: Związek Ludowo-Narodowy i Stronnictwo Chrześcijańsko-Narodowe, t. zw. monarchiści poznańscy. Stronnictwa te toczą ze sobą zaciekłą walkę o wpływy w tej dzielnicy. W tej walce, toczącej się ze zmiennem szczęściem, górę ostatecznie wzięliby monarchiści ze względu na nastroje, panujące wśród ludności i sąsiedztwo silnego ruchu monarchistycznego w Niemczech.

Wobec wypadków warszawskich Związek Ludowo-Narodowy zajmuje na terenie Kongresówki i Małopolski stanowisko dość umiarkowane. W głównych organach prasowych Z. L. N. nie spotykamy zaciętości i nieprzejednania. Raczej przygważdża się taktykę stronnictw lewicowych, które legitymowały wystąpienie marszałka Piłsudskiego i solidaryzowały się z niem i podkreśla się roz bieżności między słowami marszałka a czynami tamtych. A to już jest bardzo wiele w kierunku wzajemnej tolerancji, zwłaszcza, że marszałek ze swej strony podkreśla, że nie solidaryzuje się z żadną partją. Niema przeto żadnego widocznego powodu, któryby usprawiedliwiał nieprzejednane stanowisko tego samego stronnictwa na terenie dzielnicy poznańskiej.

Natomiast nie trudno domyślić się, dlaczego stronnictwo Chrześcijańsko - Narodowe wszędzie, a więc i w Poznaniu namiętnie zwalcza Piłsudskiego i głosi bojkot Zgromadzenia Narodowego, aby na wszelki wypadek uniemożliwić wybór Piłsudskiego na Prezydenta.

Piłsudski, jeśli jest szczerym republikaninem, ma wszelkie dane, aby zadać śmiertelny cios młodemu ruchowi monarchistycznemu w Polsce, a tem samem poderwać rację egzystencji stronnictw Ch. N., które utrzymać się może przy wyborach tylko wtedy, jeśli hasło „króla chcemy" będzie miało moc przyciągającą.

Piłsudski mówi sam o sobie, że udało mu się wywołać rewolucję, bez ujemnych rewolucyjnych skutków — jeśli obrany zostanie Prezydentem Rzeczypospolitej uda mu się niewątpliwie zrobić rzecz drugą, zrealizować większość postulatów i pragnień monarchistów bez wprowadzenia ustroju monarchistycznego. A niewątpliwie 90 na 100 zwolenników stronnictwa Ch. N. godzi się na program tego stronnictwa, bardzo trzeźwy, rozsądny, przemawiający do uczuć obywatelskich i patrjotycznych, ale niekoniecznie godziłoby się na króla, gdyby te wszystkie bardzo nam potrzebne rzeczy można mieć bez tego dodatku.

Czego żądają monarchiści? Ciągłości władzy państwowej, stałego oparcia dla rządu, hamulca na rozpolitykowany sejm, ciągłości w polityce zagranicznej, widocznego symbolu państwa dla mas, naturalnego zwierzchnika dla armji.

Jeśli Piłsudski zostanie prezydentem, potrafi sobie zapewnić conajmniej taki sam wpływ na bieg spraw państwowych, jaki mógłby w najlepszym razie otrzymać król, a jeśli raz nada polityce wewnętrznej i zewnętrznej zdecydowany bieg, toczyć się będzie bardzo długo w tym samym kierunku. Nędza i niezadowolenie ludności się zmniejszą, wyjałowi się przeto grunt dla propagandy monarchistycznej. Armja będzie miała w nim zwierzchnika bardziej naturalnego, niż w obcym narodowością króla, a lud i tak widzi w nim symbol państwa polskiego. Król stanie się przynajmniej na razie zagadnieniem nie budzącem zainteresowania, stronnictwo monarchistyczne grupą martwą, skazaną na akademickie rozmyślania zamiast odgrywania czynnej roli w życiu politycznem.

Ta więc walka idzie o wielką stawkę, o być albo nie być stronnictwa, grupy ludzi niezwykle ambitnych, mających szerokie plany, zwłaszcza w zakresie polityki zagranicznej.

Walka jest przeto niezwykle ostra i nieubłagana. Aby ją prowadzić, wyjechał do Poznania faktyczny przywódca stronnictwa prof. Stroński. Tupetem, zaciętością, zapałem, poruszeniem wszystkich strun uczuciowych w duszy ludności, pragnie porwać za sobą całe poznańskie do tej walki krzyżowej przeciw „gwałtom i bezprawiu", która w rzeczywistości jest walką o byt zagrożonego stronnictwa.

Mistrzowsko i bez skrupułów prowadzona walka, w której w dodatku gra się na uczuciach duszy dzielnicowej, skupia na sobie rzeczywiście uwagę większości społeczeństwa. Inne stronnictwa muszą się z tem liczyć i iść w tym samym kierunku, aby nie utracić wpływów.

Jeśli Piłsudski wybrany nie będzie, może uda się go po pewnym czasie całkowicie od wpływów na rządy usunąć, a wtedy stronnictwo wygrało. Idea monarchiczna nie straciła w masach siły przyciągającej, przeciwnie, wspomnienie wypadków warszawskich wzmocni ją: jedynem lekarstwem na bunty wojskowe jest król — tak przynajmniej będą agitatorzy głosić.

Z. L. N. w Poznaniu musi iść z tym prądem, gdyż w razie upadku kandydatury Piłsudskiego, neutralność dzisiejsza zgubiłaby go w poznańskiem. Stąd ta różnica między tonem prasy tego stronnictwa w Warszawie a Poznaniu. Stąd nawet w Poznaniu rezerwa wśród stronnictw robotniczych, które w Kongresówce otwarcie stoją po stronie Piłsudskiego.

* * *

Inną taktykę obrali monarchiści wileńscy, których monarchizm jest czysto ideowym ruchem a nie interesem politycznym. Ci dążą do monarchji w Polsce, a nie do wygrania wyborów. Opowiedzieli się za Piłsudskim, mając nadzieję, że on da początek dynastji polskiej i ogłosi się prędzej lub później regentem lub nawet królem. Organ ich „Słowo" wileńskie, n. b. jedno z najlepiej prowadzonych i najpoważniejszych pism codziennych w Polsce, wzywa Piłsudskiego do ogłoszenia się dyktatorem.

Monarchiści wileńscy, to ideowcy bezinteresowni, marzący o Bonapartym dla Polski— poznańsko-warszawscy, to bisnesmeni, pragnący wyzyskać tęsknotę ludu do silnej władzy, otoczonej blaskiem i powagą, do własnych politycznych interesów, do wygrania wyborów i utrzymania się na powierzchni życia politycznego.

Rząd i marszałek Piłsudski

w świetle własnych oświadczeń:

W czasie Zielonych świąt premjer prof. Bartel oraz minister Makowski złożyli wobec przedstawicieli prasy oświadczenie o zamierzeniach rządu na najbliższy czas.

W oświadczeniach ich niema programu politycznego ani gospodarczego, jest tylko wyliczenie tych najkonieczniejszych prac, które muszą być przedewszystkiem wykonane, aby wogóle można przystąpić do jakiejś planowej pracy.

Oto co mówi **premjer Bartel:**

Mając na względzie, że opinja społeczna powszechnie w sposób natarczywy domaga się rozwiązania ciał ustawodawczych, rząd musi liczyć się z przewidywaniem takiego rozwiązania i wynikającemi stąd dla zarządu państwowego konsekwencjami.

Podobnież panuje zgodne przekonanie w opinji publicznej o konieczności wprowadzenia pewnych zmian w Konstytucji Rzeczypospolitej, przedewszystkiem w kierunku nadania Prezydentowi Rzeczypospolitej prawa rozwiązania ciał ustawodawczych.

Zmiany te mogą być uchwalone w myśl art. 125 Konstytucji zarówno przez obecne ciała ustawodawcze, jakoteż przez przyszły sejm kwilifikowaną większością głosów.

Niezależnie od tego, jaką drogę obiorą ciała ustawodawcze, czy uchwalą te zmiany jeszcze przed swem rozwiązaniem w składzie obecnym, czy też pozostawią sprawę do rozstrzygnięcia przyszłemu sejmowi, już obecnie zachodzi potrzeba dokonania szeregu aktów państwowych, usuwających w sposób doraźny najważniejsze niedomagania w ustawodawstwie, w zarządzie państwowym i samorządowym oraz w stosunkach społecznych i gospodarczych.

Wobec niemożności dokonywania tych zarządzeń, o ile wymagają formy ustawowe, przez ciała ustawodawcze w obecnym ich składzie, jako ulegające domniemanemu rozwiązaniu, staje się rzeczą nieodzowną wyposażenie Prezydenta Rzeczypospolitej na okres przejściowy w szczególne pełnomocnictwa, uprawniające do podjęcia kroków naprawy zarządu państwowego, w szczególności przez wydanie nowych ordynacji wyborczych, reorganizacji zarządu państwowego w zakresie władz naczelnych, cywilnych i wojskowych oraz władz organów im podległych, reorganizacji samorządu, ujednostajnienia organizacji sądownictwa, uzgodnienia ustaw obowiązujących z konstytucją itp. oraz naprawy stosunków skarbowych i gospodarczych przez szereg odpowiednich rozporządzeń z mocą ustawy.

Odpowiednia ustawa ramowa, stanowiąca w zasadzie wyraz woli ciał ustawodawczych co do wymienionych zarządzeń w dziedzinie administracji i stosunków gospodarczych państwa byłaby zrealizowana w szczegółach drogą rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej, wydawanych w okresie przynajmniej jednorocznym od czasu jej uchwalenia.

Projekt takiej ustawy jest opracowany przez rząd i we właściwej chwili będzie złożony sejmowi.

Minister sprawiedliwości **Makowski** pragnie najpierw chociaż z grubsza uporządkować chaos w ustawodawstwie:

Mamy wciąż jeszcze do czynienia z nieładem prawnym, z którego życie szuka wyjścia drogą selekcji ustaw żywych oraz niestosowania obumarłych. Jednakże jest to bardzo trudne i szkodliwe, doprowadza czasami do sprzeczności nawet pomiędzy najwyższemi instancjami sądowemi (np. Konstytucja, a ustawy zaborcze w wyrokach Sądu Najwyższego i Najw. Trybunału Administracyjnego).

Utrzymanie takiego stanu prowadzi do niepowetowanych strat, ponieważ podważa w społeczności poczucie ładu prawnego, poszanowanie dla ustawy, t. j. zasadnicze warunki praworządnego współżycia i mocy państwowej.

Tam, gdzie prawo samo jest w stanie nieładu i sprzeczności, trudno osiągnąć ład i praworządność życia. To też uporządkowanie stanu prawnego jest sprawą najpilniejszą, niecierpiącą dalszej zwłoki.

Dokonanie tego uporządkowania normalnym trybem ustawodawstwa przez rozprawy w dwu izbach parlamentarnych wymagałoby tak długiego czasu, że samo przedsięwzięcie straciłoby rację bytu. Normalna procedura ustawodawcza parlamentu nie jest przystosowana do tych zadań wyjątkowych. Nawet w państwach o lepszem, niż u nas stanie rzeczy prawa, gdy chodzi o projekty reformy ustawodawstwa cywilnego lub karnego bywają wyłaniane ciała specjalne, obdarzone szczególnemi pełnomocnictwami, których postępowanie upraszcza lub przyśpiesza bieg reform państwowych.

* * *

Marszałek Piłsudski w wywiadzie prasowym mówi o powodach, które skłoniły go do wystąpienia i o tem, co pragnąłby, aby w Polsce było zrobione:

* * *

Przez cały początek roku bieżącego, nie mówiąc już o końcu ub. roku toczę usilną walkę o naprawę stosunków w Rzeczypospolitej, specjalnie zaś w wojsku. Walka ta w swoich perypetjach nie dawała nigdy decyzywnego rezultatu. Tak, że wydawało mi się, iż przeciwko moim postulatomześrodkowały się wszystkie siły, które według mnie zatrzymywały proces rozwoju Polski, a zwiększając ustawicznie demoralizację i gangrenę aparatu państwowego, czyniły dla mnie niemożliwem trwanie dłużej w bezczynności. Oburzała mnie specjalnie absolutna bezkarność wszystkich nadużyć w państwie i wzrastająca coraz bardziej zależność państwa od wszystkich „nuworiszów", którzy narówni ze mną i wielu ludźmi przyszli do Państwa Polskiego ubodzy i zdążyli kosztem państwa i kosztem wszystkich obywateli w kilka krótkich lat wyrosnąć na potentatów pieniężnych, chcąc, by ku hańbie naszej Ojczyzny państwo we wszystkich drobiazgach należało do nich.

* * *

Decyzję wystąpienia powziąłem z wewnętrznem postanowieniem starać się jedynie o obalenie rządu, nie występując zresztą przeciwko osobie p. Prezydenta Wojciechowskiego. Dotąd żałuję, iż p. były Prezydent naraził mnie i siebie na śmieszną sytuację na moście Poniatowskiego, zamiast kazać reprezentować siebie przez tych, co nie śmieli stanąć mi do oczu.

* * *

Miałem do wyboru: albo przeciągać dalej strunę i zakończyć tak, jak zdaje się żądano ode mnie jakąś próbą dyktatury i wzięciem władzy w swoje jedynie ręce, albo co mi się wydawało, jako droga możliwa, próbę zalegalizowania faktu dokonanego, gdy p. Prezydent Wojciechowski otworzył do tego drogę i odwołania się w ten sposób do sił moralnych w mojej Ojczyźnie, które — jak mi się zdawało — zostały silnie podekscytowane mojem wystąpieniem.

Wybrałem drugą drogę i wtedy śpieszyłem jaknajgwałtowniej, czyniąc nacisk, pod względem czasu nie pod względem treści, na p. Marszałka Rataja, który prawnie, do wyboru nowego prezydenta jest jego zastępcą i zatem miał obowiązek sformowania nowego rządu, wobec ustąpienia poprzedniego. P. Marszałek Rataj wybrał do sformowania rządu prof. Bartla. Prof. Bartel jednak odmawiał, będąc, jak twierdził, przeciwnikiem zasadniczych sejmowych rządów. Wyznaję otwarcie, iż poparłem p. Rataja w zgwałceniu, że się tak wyrażę, woli prof. Bartla, który jednak zażądał rewanżu z mojej strony. Na rewanż ten się zgodziłem pod warunkiem, iż rząd uważać się będzie za tymczasowy, do wyboru nowego Prezydenta. I dlatego cały swój nacisk położyłem na możliwie szybkie zwołanie Zgromadzenia Narodowego, by nowy prezydent mógł zacząć pracować, daj Boże silniej i skuteczniej, niż to było z dotychczasowymi prezydentami, nie wyłączając i mnie, jako b. Naczelnika Państwa.

* * *

Rozumiem, iż w ten sposób zawiodłem wiele nadziei we mnie pokładanych i wyrzekłem się tak łatwej w okrzykach formy, jak dyktatura jednego człowieka. Zrobiłem to jednak z całą rozwagą i świadomą decyzją. Zrobiłem to zaś dlatego, aby odzwyczajono się u nas w Polsce zwalać spokojnie wszystko na jednego człowieka, dając mu potem niechętną pomoc, bez dania codziennej, solidnej pracy wielkiej ilości ludzi, niezbędnej dla zreformowania przyzwyczajeń, tak silnie zresztą krytykowanych w aparacie państwowym.

* * *

Czekam więc zgłoszenia publicznie kilku kandydatów, bym mógł ich wszystkich — z wyjątkiem tych, którzy na mój szacunek nie zasługują lub nawet zasługujących, lecz pochodzących ze stronnictw sejmowych — zebrać u siebie, by ich namówić do jednego publicznego aktu. Akt ten wyobrażam sobie w postaci deklaracji, że żaden z kandydatów zebranych u mnie nie idzie na żadne pacta conventa, ani ze stronnictwami sejmowemi, ani z bankami prywatnemi czy grupami koncernów i interesów. W ten sposób przypuszczam udałby mi się protest przeciwko zwyczajom polskim tak dawnym, jak ongiś elekcyjne wybory królów, a które, jak mi się zdaje, chcą w stosunku do prezydenta powtarzać stronnictwa wraz z udającymi dawnych magnatów nuworyszami. Przecież prezydent, tak jak ongiś król, reprezentować musi całe państwo, ze wszystkiemi stronnictwami i ze wszystkiemi warstwami. Jest z natury rzeczy jeden tylko i jako taki, stojąc u góry, jest skazany na samotność. Hańbą Polski, zarówno w okresie, gdy szła do upadku, jak i w nowej Polsce t. zw. demokratycznej, jest obciążenie swego przedstawiciela na zewnątrz i wewnątrz wszelkiemi wysokiemi przysięgami, których sami wyborcy nie składają, albo składając nie dotrzymują i odebranie temu przedstawicielowi nawet pozorów władzy bezpośredniej, któraby ułatwić mogła dotrzymanie przysięgi, mówiącej m. in. o obronie godności imienia polskiego na świecie.

* * *

Czy Piłsudski jest człowiekiem partji?

Niezmiernie charakterystyczne słowa padły z ust marszałka Piłsudskiego. W opublikowanym w kilku pismach wywiadzie z nim znajdujemy następujące ustępy:

Jeżeli pojęcia „lewica" i „prawica" mamy rozumieć jako odpowiednik głębokich socjalnych prądów istniejących w całym świecie, to znajdziemy, że we wszystkich państwach, z wyjątkiem naszego sąsiada ze wschodu, siły socjalne znajdują się w stanie równowagi, chociaż niewątpliwie mamy do czynienia z gwałtownem poszukiwaniem metod wyjścia dla nowego, powojennego życia.

Dlatego też, jeżeli pojęcia „lewica" — „prawica" są związane z ruchami socjalnemi, nie byłem nigdy osobiście w nowej Polsce stronnikiem dawania wyraźnej przewagi jednej stronie lub drugiej i wyrażałem zawsze myśl, której się i teraz trzymam, że dla nas eksperyment zrobiony przez naszych sąsiadów ze wschodu nie jest zachęcający. **Natomiast nie wierzę w nasze siły pod tym względem, byśmy w porównaniu z naszymi sąsiadami z zachodu i innemi państwami na świecie, mogli się zdobyć na dawanie im przykładów rozwiązywania problematów socjalnych, gdy słusznie czy niesłusznie wszędzie na świecie — jak twierdzę — dotąd równowaga socjalna utrzymuje się.**

Jeżeli zaś lewica i prawica mają oznaczać pojęcia politycznie związane z daleką i dawną przeszłością, sięgającą hen gdzieś aż do Wielkiej Rewolucji francuskiej, to wybaczy pan, lecz probując analizy stosunków politycznych w mojej Ojczyźnie, nigdy nie mogłem skonstatować, co jest właściwie mówiąc lewicą, a co prawicą.

Prawica gdzieindziej charakterystycznie dąży do zmniejszenia siły i potęgi parlamentaryzmu na rzecz władz wykonawczych, u nas zaś najwybitniejszymi przedstawicielami rozwydrzenia partyjnego i oparcia wszystkiego w Polsce na prawach i przywilejach pp. posłów i senatorów jest nie kto inny, jak tak zwana prawica. Także autorem Konstytucji, obierającej władzę wykonawczą z wszelkich cech siły, na rzecz „złotych wolności" posłów i senatorów, jest właśnie prawica.

Tak, iż gdy się rozumuje pojęciami „prawica" i „lewica", musi się zabrnąć w jakieś sprzeczności z pojęciami ogólnie istniejącemi i trzeba stanąć zupełnie bez wyjścia.

Osobiście nigdy nie chciałem być członkiem ani polskiej prawicy, ani polskiej lewicy. Nie chciałem nigdy należeć do żadnego stronnictwa, ani też aprobować panowania stronnictw nad Polską.

Wyjaśnienia te w tej chwili mają o wiele większą wartość, aniżeli najgenjalniejszy program.

NIE ROZWIĄZYWAĆ SEJMU!

Nie powtarzajmy starych błędów

Jesteśmy świadkami forsownej i na wielką skalę zakrojonej propagandy za rozwiązaniem obecnego sejmu natychmiast po Zgromadzeniu Narodowem i dokonaniu wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej.

Jeżeli są jakieś wątpliwości, to tylko co do tego, czy sejm powinien się rozwiązać na pierwszem swem posiedzeniu po Zgromadzeniu Narodowem, nie zajmując się przedtem żadną pracą ustawodawczą, czy też powinien przedtem uchwalić proponowane z różnych stron zmiany w konstytucji, ordynacji wyborczej, określić swój stosunek do obecnego rządu i t. p.

Zasłużenie, czy niezasłużenie, sejm obecny stracił zaufanie społeczeństwa, nie jest odbiciem istotnego układu sił w społeczeństwie, ani wyrazicielem jego opinji i woli. Jest areną walk partyjnych i najnieprawdopodobniejszych łamańców taktyki partyjniczo-politycznej, w których społeczeństwo udziału nie bierze i ze zgorszeniem je obserwuje.

Ale czy rozwiązanie tego sejmu będzie właściwem lekarstwem na niedomagania naszego parlamentaryzmu? Czy sejm, który wyjdzie z nowych wyborów będzie lepszy?

Śmiemy wątpić. Bo czego żądamy od sejmu? Aby był wiernem odbiciem woli większości społeczeństwa, aby zatem mógł z siebie zawsze wyłonić większość, która zdolną byłaby do dania silnego oparcia rządowi, powołanego zgodnie z jej wolą. Rządy, na tej większości oparte, byłyby przez społeczeństwo przyjmowane z uznaniem lub niezadowoleniem. Jeśli większość społeczeństwa byłaby niezadowoloną, to dawałaby temu wyraz, solidaryzując się z opozycją. Wówczas rozwiązanie sejmu przywróciłoby równowagę. Nowe wybory dałyby nową większość, na której oparłby się nowy rząd.

* * *

Ale czy społeczeństwo wie dzisiaj, kogo ma wybierać, aby dać wyraz swej woli? Czy żyje ono życiem sejmu i solidaryzuje się z opozycją, czy większością? Nie. Społeczeństwo nie wie, kto w sejmie należy do większości, a kto do opozycji, bo nikt tego nie wie, bo wogóle nie było dotychczas w sejmie trwałej większości. Były sztuczne zlepki, nienaturalne kombinacje, obliczone zawsze na to, aby dać oparcie osobie, a nie rządowi, większości pełne sprzecznych dążeń i tendencji, których najważniejszą troską było nie sprawowanie rządów według wspólnego, przez wszystkich jawnie wyznawanego programu, lecz baczenie, by jak najdłużej obejść się bez programu, bez wyraźnego i obowiązującego stawiania najistotniejszych kwestyj i zagadnień polityki państwowej.

Zasadniczego i najistotniejszego, domagającego się zadośćuczynienia, powodu do rozwiązania sejmu niema. Nie było w tym sejmie trwałej rządzącej większości, ani trwałej konsekwentnej opozycji, zatem nie można mówić o zmianie stosunku społeczeństwa do pierwszej czy drugiej, o takiej zmianie, która wymagałaby rozpisania nowych wyborów.

Można na to odpowiedzieć, że społeczeństwo większość taką wyłoni, że wyjdzie ona z urn wyborczych.

Ale na to odpowiemy, że jeśli 444 posłów, ludzi o inteligencji i politycznem wyrobieniu większem niż przeciętna dla naszego 30-miljonowego społeczeństwa nie mogło w ciągu czterech lat takiej większości stworzyć, to jakie są dane, że zrobi to trzydziestomiljonowe społeczeństwo, posiadające 60 procent analfabetów elementarza a 90 procent analfabetów politycznych. Niema żadnych. Mogą zajść tylko pewne zmiany w liczebności sejmowych obsad partyjnych, dające nowy materjał do kombinacyj większościowych i opozycyjnych, ale w ogólnym obrazie sejmu nic się nie zmieni i ani o odrobinę nie zostanie zwiększona jego zdolność państwowotwórcza.

* * *

Mówi się, że ten sejm jest zgniły, skorumpowany, zdemoralizowany, że każdy inny będzie lepszy — niektórzy idą dalej jeszcze: proponują, aby uchwalono ustawę, iż żaden poseł zasiadający w tym sejmie, do nowego sejmu wybrany być nie może.

Demagogja i frazesy. Jeśli sejm jest zdemoralizowany, zgniły i skorumpowany, to zgniłe, skorumpowane i zdemoralizowane są stronnictwa i partje, które tworzą łącznik między społeczeństwem a sejmem i w imieniu społeczeństwa dostarczają sejmowi posłów. A dotychczas nic nie słyszeliśmy o tem, aby chociaż jedna partja napiętnowała i wyrzekła się swych „skorumpowanych, zgniłych i zdemoralizowanych" posłów, wycofała ich z sejmu i chciała zastąpić nowymi. Przeciwnie, codziennie czytamy, że rada naczelna takiej lub innej partji wyraża pełne zaufanie swym rezprezentantom w sejmie i całkowicie aprobuje ich taktykę. Jeśli przeto stałoby się tak, że ustawa zabroniłaby partjom tych samych ludzi delegować do przyszłego sejmu, to inni w niczem różnić się nie będą od swych poprzedników.

Nowe wybory nic na korupcję, zgniliznę i demoralizację sejmu nie poradzą. Jeszcze spotęgują te szlachetne właściwości, jeśli rzeczywiście stanowią one dominujący rys charakteru naszego sejmu, bo przyjdą ludzie nowi i głodni.

Co więc należy zrobić — co począć, aby wybrnąć z błędnego koła?

Należy zaniechać wszelkiej myśli o rozwiązaniu sejmu, a przeciwnie, dążyć do przedłużenia kadencji obecnego sejmu przynajmniej na dalszych lat pięć.

* * *

Rozwiązanie obecnego sejmu i przeprowadzenie nowych wyborów ma być według szerzonej opinji aktem sanacji naszego życia parlamentarnego. Ale my przy wszystkich sanacjach popełniamy stale jeden i ten sam błąd. Zapominamy, że najpierw trzeba leczyć aż do wyleczenia zupełnego, a potem robić zmiany. Przedwczesne operowanie — odpiłowywanie zepsutej gałęzi i szczepienie na jej miejscu nowej, najczęściej kończy się przeniesieniem starej choroby na nowy twór.

Przypomnijmy sobie dobrze sanację walutową. Śmiałe, rewolucyjne zarządzenie o waloryzacji wraz z drugiem niemniej rewolucyjnem zarządzeniem unieruchomienia pras drukarskich i zastąpienia ich prasami podatkowymi (podatek majątkowy) oczyściło na chwilę atmosferę zgnilizny i rozkładu walutowego. Nastąpiła chwilowa stabilizacja i niezwłocznie też zabraliśmy się do „sanacji" waluty. Wspominano wprawdzie tu i ówdzie o konieczności przeprowadzenia dłuższej kuracji gospodarczej, dla wyhodowania w organizmie gospodarczym dostatecznej odporności, która poręczałaby, że nowa waluta szlachetna, zaszczepiona na miejscu odpiłowanej marki, zabezpieczona będzie najzupełniej przed zarazkami choroby, która stoczyła jej poprzedniczkę — ale głosów tych nikt nie słuchał. Osiągnięte przy pomocy radykalnych środków zamarcie objawów chorobowych, wzięliśmy za wyzdrowienie i uodpornienie organizmu gospodarczego i bez wahania zaszczepiliśmy na nim nową walutę.

Skutek jest wiadomy. Spędzone z powierzchni wrzody choroby budżetowej, fiskalnej i uwiądu produkcji, poczęły szerzyć tem gorsze spustoszenia od wewnątrz. Złoty został zakażony i jeśli niema skończyć stokroć gorzej od marki, trzeba będzie zdecydować się teraz na długą, bardzo długą, żmudną, cierpliwą, nieurozmaiconą ani jednym podtrzymującym ducha doraźnym sukcesem kurację, na bardzo drogą kurację. To, co dwa lata temu mogliśmy mieć stosunkowo dość szybko i tanio, kosztować nas będzie ostatni sprzęt, a czekać przyjdzie nam na to lata całe.

Porównanie nie jest może pod każdym względem trafne, ale reguły i prawa działają te same i w jednym i w drugim wypadku. Rozwiązanie sejmu obecnego nie uleczy choroby naszego parlamentaryzmu, lecz tylko chwilowo spędzi jej objawy z powierzchni życia politycznego. Rewolucyjny czyn marszałka Piłsudskiego i rewolucyjne decyzje powiększenia zakresu władzy Prezydenta Rzeczypospolitej i zmiany ordynacji wyborczej nie stanowią same w sobie lekarstwa. To są środki radykalne, stwarzające chwilową stabilizację i odsłaniające ogniska choroby. To są szczypce wepchnięte w rozciętą nożem operatora ranę — przytrzymujące jej brzegi. Teraz trzeba iść z lekarstwem a dopiero potem, gdy korzeń i rdzeń choroby będzie wyleczony, wolno będzie szczepić tam nowe tkanki.

* * *

Gdzie tkwi rdzeń choroby naszego parlamentaryzmu? W społeczeństwie — w braku stabilizacji politycznej w szerokich masach wyborców. Wyborca nie wie do czego ma się ustosunkowywać. Przychodzi się do niego z hasłami i z konieczności wobec tych haseł zajmuje stanowisko. Czynów albo nie widział, albo nie jest zupełnie pewny, komu przypisać te, które widział. Z pozytywnych czynów państwowo-twórczych widział powrót Rzeczypospolitej do niepodległości państwowej, ale zasługę tego czynu każdy, z tych co przychodzą do niego, sobie przypisuje, a drugiemu jej odmawia. Innych, którymi wolnoby się pochwalić, jest mało a jeśli nawet są, to bez wielkiego wysiłku strona przeciwna może wykazać brak wszelkiej ich wartości, może nawet udowodnić, że są szkodliwe (konstytucja, reforma rolna, ustawodawstwo socjalne, reforma walutowa, organizacja administracji, wojska, szkolnictwa i t. p.). Oświeconego ogarnia zwątpienie, a cóż mówić o analfabetach politycznych, którzy decydują o składzie sejmu. Albo apatja i indyferentyzm, albo pójście za najzręczniejszym hasłem. Żadnego drogowskazu, żadnego stałego niewzruszalnego punktu orjentacyjnego, w płaszczyźnie państwowości polskiej, według którego możnaby określić swoje stanowisko i obrać kurs. Wszystko płynne, niepewne, zmienne, zależne od oświetlenia, nastroju.

Czy w takich warunkach wolno tworzyć nowy sejm, czy pomogą tu na długo środki radykalne i doraźne? Nowy sejm po pewnym czasie będzie taki sam jak obecny, a może nawet chwilowo zaleczona choroba tem silniej wybuchnie później.

Środki radykalne, jakie częściowo już zastosowano i jakie ma się zamiar jeszcze zastosować, skutkować będą tylko przy obecnym sejmie — przy nowym wywołać mogą skutek wręcz odwrotny.

* * *

Co robić? Wykorzystać wstrząs, jaki wywołały w sejmie i społeczeństwie ostatnie wypadki. Marszałek Piłsudski, rzekłszy „a", recytować winien cały alfabet. Zwołanie nowego sejmu będzie ostatnią tego alfabetu literą, a nie może być drugą czy trzecią. Na niego zwrócona jest w tej chwili uwaga całego społeczeństwa, przyczem conajmniej połowa a może i większość patrzy nań bez uprzedzeń i wierzy, że tylko dobra Rzeczypospolitej chce. Z tego stanu rzeczy sejm obecny, będzie musiał wyciągnąć konsekwencje, i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zwartej jednolitej większości przeciw niemu przynajmniej w pierwszej chwili nie będzie zdolny stworzyć, a po pierwszych posunięciach państwowo-politycznych rządu, pracującego pod jego wpływem, nie będzie śmiał jej tworzyć. Pójdzie za nim, w własnym swoim interesie, aby nie popaść w sprzeczność ze społeczeństwem i nie stracić tam prawa dopominania się o nowy mandat.

A ci, którzy staną w szeregach opozycji będą mieli zamkniętą drogę do szacherek i będą musieli dla opozycji swojej stworzyć fundament ideowy, tembardziej, iż ci, którzy opowiedzą się po stronie większości dającej oparcie rządowi, pozostającemu pod takim czy innym wpływem marszałka, także uczynią to — z większą czy mniejszą ochotą — z pobudek ideowych, gdyż spodziewać się wolno, że dyskontowanie poparcia i współpracy parlamentarnej z rządem będzie niemożliwe.

Zrodzą się wreszcie w sejmie idee i koncepcje państwowotwórcze po obu stronach: na prawej i lewej stronie a stąd promieniować będą na społeczeństwo, które sprawdzać będzie mogło wartość ich na konkretnych wynikach pracy rządowej i podług tego się orjentować dla przyszłych wyborów, które będą już prawdziwymi — w pełnem tego słowa znaczeniu — wyborami, bo będą do wyboru jasno określone wartości. Wybory dotychczasowe wyborami nie były, a były pospolitem łapaniem naiwnych — „Bauernfängerei" — przypominały proceder „brylanciarzy", sprzedających naiwnym prowincjonałom przed wystawą jubilerską czeskie szkiełka, jako brylanty.

W ten sposób chcielibyśmy rozumieć hasło, którem opromienia się wypadki warszawskie: „przewrót moralny" i w ten sposób tylko, zdaniem naszem, hasło to może być zrealizowane.

Zwoływanie nowego sejmu procesu umoralniania życia publicznego nie ułatwi. Przedewszystkiem niema żadnej gwarancji, że do sejmu nowego wejdą ludzie o większej wartości moralnej niż posłowie obecni, a powtóre, i to jest najważniejsze, należy liczyć się z tem, że ci, którzy najbardziej prą dzisiaj do wyborów, pójdą do mas z hasłem „pogłębiania rewolucji" z hasłem dalszego ciągu społecznego dla wypadków militarnych, a nie z hasłem umoralniania życia publicznego. Strona przeciwna pójdzie z hasłami „kontrrewolucji". I jeśli jedna lub druga zdobędzie przewagę, lub na pierwszem posiedzeniu nowego sejmu dojrzy możliwość jakiegoś sojuszu, któryby jej zapewnił przewagę, hasła swoje najbezwzględniej realizować zacznie, gwiżdżąc na wszelką moralność. I wypadki warszawskie będą musiały powtórzyć się.

* * *

Zwoływanie sejmu w pierwszych dniach odzyskanej niezależności państwowej było grubym błędem. Dobry pszczelarz nie wpuszcza nowego roju do pustego ula, lecz najpierw ul urządzi, a przedewszystkiem przymocuje kawałki plastrów woskowych w tych miejscach, gdzie w interesie roju samego i wydajności jego pracy, plastry powinny być przez pszczoły budowane. Także i u nas należało najpierw opracować projekt konstytucji, rozpocząć realizację tego projektu a przynajmniej przysposobić fundamenty dla niej, a potem, gdy uspokoiłyby się już umysły w społeczeństwie, gdy jedni widząc pierwsze wyniki i mogąc osądzić dalszy rozwój planu państwowego opowiedzieliby się za nim, a drudzy przeciw — należało zwołać sejm.

Nie popełniajmy drugi raz tego samego błędu, nie zwołujmy nowego sejmu dla przeprowadzenia sanacji moralnej życia publicznego.

Sejm obecny będzie w każdym razie skłonniejszy zapoczątkować ją, niż sejm nowy, pozostawmy społeczeństwu to, co do niego należy, wydania opinji o rezultatach tej pracy.

Dziś mamy niebezpieczny, a może tylko nieoględny zamiar kazać mu opinjować o wypadkach warszawskich. Czy zamiar ten może się na chwilę choćby ostać w tych samych umysłach, które pracują nad planem pacyfikacji i przywrócenia powagi i poszanowania prawa?

* * *

Mówi się, że jeśli pozostawiony będzie obecny sejm, to wyłoni z siebie tę samą większość, której dzieło — rząd posła Witosa — obalać musiał marsz. Piłsudski.

Próżne obawy. Jeśli ta większość uważała się za twór zdrowy, za naturalne naczynie na organizmie większości społeczeństwa, to wiarę tę straciła. Nie byłoby się po cięciu warszawskiem tyle obrzydliwej ropy, tyle cuchnącej cieczy gangrenowej wylało. Przecież w świetle „błyskawicy", do której czyn swój przyrównuje marszałek, widzieliśmy już gotowe aparaty czerezwyczajek, listy proskrypcyjne, trybunały rewolucyjne...

Tego wszystkiego nie byłoby się widziało, gdyby ta większość była zdrowa i wyrażała niezłomną wolę większości społeczeństwa. Tyle jadu nie nagromadziłoby się po przeciwnej stronie.

Większość ta już się nie odrodzi w tej samej formie. Tem mniej jeśli przestanie się mówić o nowych wyborach.

* * *

Sejm obecny, który jest, trzeba odrodzić. Będzie to praca wielka, ale większa czekałaby nas niewątpliwie, gdybyśmy chcieli uchylić się od niej. Z tym sejmem bez łamania konstytucji, bez bagnetów, tanków i mitraljez rozpocząć można dzieło sanacji moralnej i politycznej. Sanacja gospodarcza przyjdzie sama — automatycznie

Nie powtarzajmy błędów naczelnika państwa, brygadjera Piłsudskiego, który zbyt wcześnie zwołał pierwszy sejm, nie powtarzajmy błędów Władysława Grabskiego, który zbyt pochopnie odrzucił markę i zbyt wcześnie stworzył złotego.

Jeśli nie chcemy łamać konstytucji i rządzić bez sejmu, aby nie wywoływać konfliktów społecznych, to nie zwołujmy sejmu nowego, dopóki w sejmie obecnym przy pomocy zewnętrznego czynnika ideowego nie osiągniemy zupełnej stabilizacji ideowej. Nie dopuśćmy tylko do rządów parlamentarnych zbyt wcześnie. Niech przez pewien czas marszałek Piłsudski, czy to jako Prezydent Rzeczypospolitej, czy jako szef rządu, ponosi wobec społeczeństwa odpowiedzialność za rządy, sejm ten da mu poparcie, z początku umywając wprawdzie po piłatowsku ręce przed swymi partjami, a później tem gorliwiej dla zaskarbienia sobie łask wyborców, jeśli owoce koncepcji marszałka znajdą uznanie w społeczeństwie.

P. Z.

GDZIE ZNIKAJĄ WALUTY Z EKSPORTU?

Bilans płatniczy, a waluta eksportowa

Wiele przemawia za tem, że nasz bieżący bilans płatniczy jest od paru miesięcy mniej więcej zrównoważony. Przyjmując połowę roku 1924 za punkt wyjścia, widzimy, że mieliśmy w czasie do kwietnia 1926 r. do pokrycia 100 miljonów dolarów tytułem salda biernego bilansu handlowego za czas od połowy roku 1924 do sierpnia 1925 r.; następnie około 5 miljonów dolarów, o które zmniejszyły się zagraniczne obliga banków w czasie od 30 czerwca 1925 do 31 grudnia 1925 r.; dalej w zakresie służby długów państwowych zagranicznych, gwarancji państwa, wzgl. Banku Gospodarstwa Krajowego, za „Kooprolnę" i t. p., wkońcu z tytułu strat Banku Polskiego na interesach reportowych razem około 40 miljonów dolarów — **summa summarum**, doliczając do tego częściowe wycofanie (oraz oprocentowanie) zagranicznych wierzytelności prywatnych bezpośrednich, 150 miljonów dolarów. Wydatki państwa na służbę zagraniczną w tymże okresie ozasu łącznie z efektywnym wywozem walut z okazji podróży z Polski zagranicę można szacować na 30 miljonów dolarów. **Ostateczna suma pozycji biernych wynosiłaby zatem 180 miljonów dolarów.**

Pokryliśmy ją 60 miljonami dolarów efektywnego (per saldo) ubytku dewiz i walut z Banku Polskiego, 70 miljonami salda czynnego bilansu handlowego w okresie od września 1925 r. do kwietnia 1926 r., 50 miljonami wpływów z oszczędności emigrantów polskich, z wydatków zagranicy na służbę dyplomatyczną i t. p. w Polsce, z pieniędzy, przywożonych przez cudzoziemców do Polski. Pokryliśmy zatem pełnych 180 miljonów deficytu.

Niezbyt wielkie saldo bierne, jakie istniało w punkcie wyjścia, t. j. w połowie roku 1924, znalazło zapewne równoważnik w fakcie, że pewna część ciężarów, pochodzących z późniejszych zobowiązań, bądź towarowych bądź finansowych, została bądź zredukowana w drodze ugodowej, bądź rozłożona co do spłaty na dłuższe okresy. W drugiej połowie r. 1924 oraz w pierwszej połowie r. 1925 mieliśmy wcale pokaźny, jak na nasze stosunki, bezpośredni dopływ zagranicznych kredytów finansowych do naszych przedsiębiorstw. Nie uwzględniliśmy w powyższem zestawieniu także takich pozycyj czynnych, jak np. wpłaty zagraniczne na rachunek prowadzonych przez firmę Ulen & Co. robót komunalnych, ani też tej części pokrycia, której bilansowi płatniczemu dostarczyły tezaurowane przez prywatnych a potem wywożone efektywne zagraniczne waluty.

Oczywiście cały powyższy rachunek jest surowy i przybliżony. Ministerstwo skarbu (lub G. U. S.) mogłoby perjodycznie ustalać i publikować rachunki bardziej ścisłe (acz zawsze tylko przybliżone), gdyż posiada lub może łatwo (bez kosztownego nakładu pracy) zdobyć „gros" potrzebnych elementów. Nie czyni tego, gdyż mu się nie chce — a zainterpelowane, zapewne schowa się za nierealny wzgląd na to, że publikowanie dat bilansu płatniczego mogłoby ujemnie wpływać na kształtowanie się kursu złotego! Jest to wielki błąd. Decydują o kursie faktyczne stosunki popytu i podaży — a w okresach zwyżki kursu obcych walut stałych brak orjentacji ogólnej w stosunkach bilansu płatniczego przyczynia się raczej do wzrostu nieufności do waluty krajowej.

* * *

Dewizy z eksportu płynące są od dłuższego czasu formalnie związane. Do 70 procent z nich mniej więcej wpływa do Banku Polskiego a 30—40 proc. do banków dewizowych. Banki dewizowe zobowiązały się 26 lutego 1926 roku walut tych nie używać na własne cele. Przekazywanie zagranicę może odbywać się tylko za udowodnieniem konieczności gospodarczej — a wywożenie dewiz i walut jest poddane znacznym ograniczeniom oraz ostrej kontroli. Zdawałoby się zatem, że od początku grudnia 1925 roku **posiadamy aparat bezwzględnie zapewniający, by dewizy i waluty eksportowe służyły w pierwszym rzędzie na pokrycie importu i innych zobowiązań zagranicznych — a więc, przy obecnym pomyślnym stanie bilansu płatniczego, niedopuszczający do tego, by wogóle zaistniał ze strony międzynarodowych obrotów popyt niepokryty, któryby mógł zaciążyć na kursie złotego** *).

*) Coprawda w okresie od rozpoczęcia się spadku złotego, t. j. od lipca 1925 roku do rozporządzenia dewizowego z 9-go grudnia 1925 roku, a po części aż do umowy bankowej z 26 lutego 1926 roku ustrój powyższy był **nietylko w praktyce, lecz nawet i w zasadzie (w przepisach)** tak niekompletny, że bez wielkich trudności wypuszczał dewizy i waluty eksportowe na czarną giełdę, pozwalając im znikać w tezauryzacji.

Co więcej — banknoty Banku Polskiego mają pokrycie kruszcowe, odpowiadające statutowi, a wskutek zaostrzonej cenzury, oraz wskutek poprawy stosunków płatniczych, która mimo wszystko daje się zauważyć w pierwszych miesiącach r. 1926, bezpieczeństwo ich pokrycia bankowego znowu się podniosło. Od końca grudnia 1925 roku do 7 maja 1926 roku emisja bilonu, czyli inflacja na konsumcyjne cele skarbowe, zaledwie o 4 miljony złotych wzrosła. Ogólna wartość obiegu pieniężnego w krajowym pieniądzu jest o połowę niższa niż przed wojną — a nawet łącznie z obiegiem dolarów nie dochodzi zapewne do dwu trzecich, co przypuszczamy na podstawie szczególnego wnioskowania przekraczającego ramy tych uwag.

* * *

Mimo to wszystko widzimy:

a) nieustającą prywatną tezauryzację walut stałych,

b) niemal stałe zjawisko, że legalny import nie może otrzymać potrzebnych mu dewiz w bankach dewizowych, względnie w Banku Polskim, lecz musi je zakupywać na czarnej giełdzie, poczem dopiero może je przekazywać zagranicę przez banki dewizowe,

c) w związku z oboma powyższemi zjawiskami — zarówno dalsze kruszenie się kursu złotego, jak i bardzo znaczne napięcie między kursami oficjalnymi a kursami czarnogiełdowymi.

Z tych trzech zjawisk pierwsze, t. j. pęd do tezaurowania walut stałych, jest zrozumiałe na pierwszy rzut oka. Jest ono wyrazem braku zaufania do polityki gospodarczej i finansowej państwa i Banku Polskiego, do trwałości pomyślnego stanu bilansu handlowego, do zapowiedzi zrównoważenia budżetu państwowego, a więc przedewszystkiem braku wiary w to, by zahamowanie emisji bilonu, dokonane przez ministra Zdziechowskiego, utrwaliło się na zawsze i nie ustąpiło wkrótce miejsca nowej inflacji skarbowej.

W jakiż jednak sposób czarna giełda otrzymuje materjał dla zaspakajania głodu tezauryzacyjnego oraz potrzeb importowych, skoro formalnie istnieje centralizacja obrotu dewizami i walutami z zagranicą (jakkolwiek nie nosi miana „centrali dewiz")? **Jakim to „złym" cudem dzieje się, że przy niewątpliwej równowadze ogólnej podaży dewiz i walut eksportowych z ogólnem ich zapotrzebowaniem, importer nie otrzymuje walut importowych w „sklepach monopolowych", lecz musi je łowić pokątnymi sposobami, podbijając tem samem ich kurs?**

Jest to „krzyżówka", nad której rozwiązaniem głowiło się bezskutecznie, bo powierzchownie, w ostatnich miesiącach wielu — **nawet wielu takich, którzy z urzędu powinni byli nietylko znać drogi, do rozwiązania prowadzące, lecz także zapobiec** bodaj w części temu, by niezupełna i niekontrolowana — jak teraz się okazuje — reglementacja walut i dewiz zabijała zupełnie swój własny istotny cel i unicestwiała na polu walutowem dodatnie skutki aktywności bilansu handlowego!

Poprostu nie chce się wierzyć, by Ministerstwo Skarbu, znając jedną z przyczyn tego nienormalnego stanu rzeczy, tak długo (aż do ostatnich tygodni) ją tolerowało, a więc, bądź nie zdawało sobie sprawy z jej znaczenia, bądź nie umiało sobie dać rady ze stroną formalno-prawną.

Nie chce się wierzyć, a **jednak to niewiarogodne było rzeczywistością!**

Oto eksporterzy, odprowadzając dewizy eksportowe do banków dewizowych w myśl zaświadczeń walutowych, często żądali równowartości nie w złotych, ale w efektywnych dolarach, aby te dolary potem sprzedać na czarnej giełdzie po kursie wyższym od oficjalnego, a więc wyższym od tego, jakiby byli otrzymali w złotych od banku dewizowego. Niektóre banki dewizowe zwróciły się swego czasu do Ministerstwa Skarbu z zapytaniem, jak zachowywać się wobec takich żądań eksporterów — **na co wydział walut zagranicznych Departamentu obrotu pieniężnego Ministerstwa skarbu wyjaśnił, że „niema przeszkód ustawowych".** Teraz już chyba jasno widzimy, jaką drogą banki dewizowe, a pośrednio i Bank Polski, ogałacały się na rzecz czarnej giełdy z efektywnych walut i dlaczego legalny import nie mógł w bankach dewizowych znaleźć dla siebie wystarczającego pokrycia — mimo że dewizy eksportowe do banków dewizowych wpływały.

Cała ta manipulacja dawała bankom pewien zarobek, ale przyczyniała się do zwyżkowej tendencji dolara, gdyż m. in. zwiększała poszukiwanie efektywnych sztuk.

Ministerstwo Skarbu albo było dotknięte daltonizmem, albo chowało głowę w piasek.

Dopiero w ostatnich tygodniach — gdy już dziesiątki miljonów dolarów tą drogą wsiąkły w społecznie szkodliwą tezauryzację, gdy w pośrednim związku z całym tym procesem złoty spadł na połowę swej nominalnej wartości, gdy zresztą już nawet i nadwyżki miesięczne w bilansie handlowym znacznie zmalały — Ministerstwo Skarbu ocknęło się, i przez Związek Banków poczęło wywierać pośredni nacisk na banki dewizowe, by odmawiały eksporterom wypłaty równowartości w efektywnych walutach obcych, przyczem i teraz nawet dla jakichś tam „fuer den begrenzten Untertanenverstand" niepojętych przeszkód nie zdobyło się na żadne stanowcze pociągnięcia, czy w formie rozporządzenia, czy w postaci projektu ustawodawczego.

Zaprawdę — **difficile est satiram non scribere.**

Oczywiście lekkomyślność Ministerstwa Skarbu i opisany wyżej proceder, który z jej pomocą powstał, **nie są jedynem źródłem niewspółmierności stanu bilansu płatniczego oraz zasad reglementacyjnych z jednej strony a trudności w zaspakajaniu legalnych potrzeb importu oraz smutnych wyników kursowych z drugiej.** Trudno też oznaczyć stosunek ilościowy, w jakim na zwichnięcie równowagi podaży i popytu działała ta wyżej podana, na pierwszy rzut oka bardzo jaskrawa przyczyna, a w jakim cały szereg innych jeszcze momentów, którym należy także poświęcić chwilę uwagi.

1) Niemałą a ujemną rolę odgrywa, jak się zdaje, niedość sprawne dostosowywanie się Banku Polskiego do stosunków targowych pod względem sprzedaży, skupu i kursów; ociężałość Banku Polskiego w walce z czarną giełdą; wypuszczenie przezeń z ręki kierownictwa targu dewizowo - walutowego; puszczenie łodzi samopas na fale, w związku z tem (także) **duża zwykle różnica między kursem oficjalnym a prywatnym, która sprawia, że dewizy eksportowe wszelkiemi sposobami starają się uciekać od kas banków i Banku Polskiego na czarną giełdę, ułatwiając w ten sposób niezdrową tezauryzację i utrudniając wyrównywanie salda bilansu handlowego.**

Export rozumuje słusznie:

„skoro zostałem zwolniony od podatku obrotowego, to chyba nie na to, bym go płacił w wysokości trzy- lub czterokrotnej, a to w postaci różnicy między kursem rzeczywistym a oficjalnym dewizy eksportowej"! *).

Jak twierdzą w kołach bankowych dość powszechnie, Bank Polski nie ma zmysłu ani dość sprawnego aparatu na to, **by wtedy, tyle, po takim kursie i wogóle tak „dawać" i „brać", jak właśnie potrzeba.**

2) Bank Polski inkasując traty zagraniczne u polskich klientów, nie przyjmuje złotych po kursie dnia, lecz żąda efektywnych walut zagranicznych — nawet co do swej **własnej prowizji za inkaso.** Gdy zaś ci klienci owych walut w bankach dewizowych z reguły dostać nie mogą, Bank Polski pędzi ich w ten sposób sam na czarną giełdę.

3) **Podobno niektóre banki dewizowe przydzielają importerom tylko tyle dewiz, ile same mogą otrzymać od Banku Polskiego — tezaurując dla siebie te dewizy, które wpływają do ich kas wprost na podstawie wystawionych przez nie zaświadczeń walutowych lub fruktyfikując je nawet przez sprzedaże nieoficjalne po wyższym kursie.**

Skontrolowanie tego byłoby łatwe i byłoby obowiązkiem Ministerstwa Skarbu, którego rzeczą byłoby też w razie potrzeby zarządzić odpowiednie środki stałej kontroli i środki zapobiegawcze, jeśli zobowiązanie, podpisane przez banki dewizowe 26 lutego b. r., nie jest istotnie honorowane przez niektóre banki.

4) W „handlu" cyrkulują (i kosztują 1%) **zaświadczenia walutowe Banku Polskiego,** takie, że na ich podstawie eksporter waluty eksportowej bankowi oddawać nie musi. Są to chyba „falsyfikaty", których geneza dotąd niestety nie została wykryta — albo też ci, którzy takie zaświadczenia z Banku Polskiego otrzymują, znajdują sposoby legalnego wykręcania się z obowiązku dostarczenia objętych nimi walut i dewiz eksportowych.

5) Czasem eksporterzy otrzymują za towar zagranicą więcej, niż zdeklarowali, zatem więcej, niż są obowiązani odprowadzić do Banku Polskiego lub do banku dewizowego na podstawie zaświadczenia walutowego. Stosunek odwrotny jednak zdarza się również: nieraz efektywna cena osiągnięta zagranicą, jest niższa od ceny zdeklarowanej, względnie od normy oficjalnej, wedle której odnośnie niektórych artykułów deklaracje muszą być sporządzane. Plusy i minusy w tym zakresie zapewne się bilansują.

6) Zdarzało się, że importerzy przedstawiali fikcyjne dokumenty i na tej zasadzie otrzymywali w bankach dewizowych dewizy, względnie przekazy na zagranicę, które służyły nie celom wymiany towarowej, lecz tezauryzacji konsumcji zagranicą i t. p. Z wielu przyczyn jednak należy uważać takie wypadki **obecnie już,** jako nader rzadkie.

7) Sama kontrola rzeczywistego wpływu walut eksportowych na zasadzie zaświadczeń walutowych pozostawia ciągle jeszcze wiele do życzenia. Środki egzekutywne są niedostateczne. Skądinąd szkodliwą i dla eksportu samego i dla waluty jest szablonowość terminów. Dla niektórych gałęzi termin 6-tygodniowy jest za krótki, dla innych za długi, konieczną byłaby indywidualizacja.

8) W numerze „Prawdy" łódzkiej z 18-go kwietnia 1926 r. p. J. M. wyraża przypuszczenie, że eksporterzy polscy, którzy za zaświadczeniami walutowemi wywożą towary zagranicę, walut, z tego źródła uzyskanych, nie sprzedają Bankowi Polskiemu, lecz pozostawiają je zagranicą do swej dyspozycji a na pokrycie zaświadczenia walutowego kupują dolary w kraju, często nawet od Banku Polskiego. Ma on na myśli zwłaszcza „eksport zboża w województwie lubelskiem". Redakcja „Prawdy" zaopatruje ten artykuł w następującą słuszną uwagę: „Byłoby bardzo pożądanem gruntowne zbadanie tej sprawy przez czynniki właściwe, t. j. Bank Polski i Ministerstwo Skarbu i dlatego uwagi te drukujemy — **choć z drugiej strony nie wydaje się nam, aby było w Polsce wielu tak bogatych eksporterów, by mogli waluty za sprzedane towary pozostawiać zagranicą, a na pokrycie pretensji B. P. kupować dolary w kraju".** Naszem zdaniem takie wypadki wyjątkowo zdarzać się mogą — ale bez porównania liczniejsze były wypadki wręcz odwrotne, o których na początku była mowa, mianowicie, że eksporter oddaje bankowi dewizy wzamian za efektywne waluty, które następnie po lepszym kursie sprzedaje na czarnej giełdzie. — **Zmusza go do tego postępowania bardzo wielka nieraz różnica między kursem oficjalnym a rzeczywistym.**

* * *

Cały przebieg sprawy walutowej w Polsce w ostatnich miesiącach, a zwłaszcza problemat, **gdzie się podziewają waluty eksportowe,** wytwarza przedewszystkiem niesłychanie przykre wrażenie, że powołane czynniki albo nie kwapią się, albo nie umieją, albo z innych przyczyn nie potrafią zbadać tych kwestyj do gruntu, nie mówiąc już o samej reformie systemu, a przynajmniej o ściślejszej kontroli, o częściowem bodaj zaradzeniu złemu — albo też, znając różne prawdziwe powody zła i ich wzajemny stosunek do siebie, z niezrozumiałych przyczyn uważają to za tajemnicę i nie chcą wyjawić swej mądrości na forum publicznem, co jest w danej sytuacji ogromnym błędem. —

* * *

Może nareszcie teraz pobudzi te czynniki do badań i działania niezawodny fakt, iż koła gospodarcze jednomyślnie uważają dalsze utrzymywanie obecnego stanu za niedopuszczalne i domagają się wielkim głosem bądź zniesienia reglementacji dewiz i walut, bądź tak konsekwentnej i rozumnej rozbudowy tego systemu, by przynosił on gospodarstwu i państwu rzeczywisty pożytek.

Dr. Roger Battaglia

*) Znamiennem, acz pośredniem tylko potępieniem „dwutorowości" kursowej oraz polityki Banku Polskiego w tym względzie jest uzyskany przez adwokata Dr. Tillesa wyrok sądu apelacyjnego w Krakowie, który orzeka, że posiadacz weksla, opiewającego na zagraniczne waluty, winien otrzymać albo te waluty, albo taką ilość złotych, by mógł sobie sam odkupić rzeczywiście tyle walut zagranicznych, na ile weksel opiewa.

Tymczasowość w szkolnictwie polskiem

II.

Ale weźmy przykład jeszcze inny, aby wskazać, do jakich konsekwencyj prowadzi brak zasadniczych ustaw w szkolnictwie, a zwłaszcza ustawy o ustroju szkolnictwa. Myślano wprawdzie o tem dwukrotnie. Miał już projekt gotowy minister Mikłaszewski, któremu nagła dymisja uniemożliwiła podpisanie i przesłanie projektu do Rady Ministrów. Projekt ten ułożony był w duchu siedmioletniej szkoły powszechnej, pięcioletniego gimnazjum i t. d. Następca jego, minister St. Grabski, gorączkowo przystąpił do pracy, stworzył koncepcję, wyznającą jednak już tylko zasadę siedmioletniego nauczania, w rzeczywistości szkołę siedmioletnią ograniczał do pewnych wyjątków, opowiadał się za ośmioklasowem gimnazjum, podzielonem na pewne stopnie licealne i t. d. Projekt ten wszedł już do Rady Ministrów, podobnoć został nawet zaakceptowany, ostatecznie jednak musiano go wycofać tak z powodu zasadniczej krytyki sfer zawodowych, jak też z powodu nadmiernych wydatków, jakie pociągnąćby musiała realizacja tego programu, który wyszedł niby z założeń bardzo realnych potrzeb społeczeństwa, nie liczył się jednak z warunkami, panującemi w społeczeństwie. Ostateczny zatem wynik: status quo. A co się tymczasem dzieje w zakresie np. szkoły średniej? Program jej wprawdzie ustalony i dla trzech niższych i dla pięciu wyższych klas, motywy programu opracowane przez Ministerstwo obszernie, do tych programów dostosowano podręczniki, dziesiątki dzieł metodycznych, praca od r. 1919 idzie w myśl tych programów, które stały się również czemś obowiązującem dla społeczeństwa. Tymczasem wszystko to opiera się tylko na rozporządzeniu ministra, wszystko to niema ustawowej sankcji i może być każdej chwili zmienione. Wprawdzie swego czasu opracowano projekt ustawy o szkolnictwie średniem, z powodu jednak krytyki organizacyj nauczycielskich został on wycofany i odtąd już pracy nad nim nie wznowiono. Dlatego to istnieje ten przedział i nieporozumienia między szkołą średnią a powszechną, między szkołami wyższemi a średniemi, dlatego nie posiadają wszystkie typy t. zw. wydziały szkół średnich ustawowego zabezpieczenia co do swoich uprawnień. W teorji typy: matematyczno - przyrodniczy, humanistyczny, klasyczny, neoklasyczny i neohumanistyczny posiadają równouprawnienia przy wstępowaniu uczniów na uniwersytet, w rzeczywistości jednak ograniczono się do trzech typów pierwszych, którym uniwersytety przyznają rownouprawnienia, ale z zastrzeżeniami, żądając egzaminów uzupełniających lub ograniczając przyjęcie do pewnych wydziałów. Wobec tego stanowiska, społeczeństwo, bojąc się ryzykować, musiało zrezygnować z zasady różniczkowania szkół, co było zasadniczem założeniem przy stwarzaniu tak różnorodnych typów. Jesteśmy zatem świadkami, że w granicach tego samego ministerstwa zagadnienia i programy opracowane przez jeden departament, nie znajdują uznania i aprobaty drugiego departamentu. W dziedzinie programów są to naprawdę klasyczne przykłady: samodzielnie układa swe programy szkolnictwo powszechne, samodzielnie szkolnictwo średnie, samodzielnie szkolnictwo wyższe, samodzielnie wreszcie zawodowe. Porozumienia i zasadniczej myśli jednolitej niema, trzy klasy niższe szkoły średniej nie odpowiadają programowi trzech odpowiednich wyższych oddziałów (4, 5, 6) szkoły powszechnej, uniwersytety nie są zadowolone z programów szkół średnich, te znów z wymagań, stawianych przez uniwersytety i t. d. Każdy dział idzie własną drogą i nic dziwnego, wobec braku zasadniczej ustawy o ustroju szkolnictwa, o roli, jaką spełniać winno każde ogniwo tej wielkiej budowy, możliwe jest działanie na własną rękę, czyli osłabianie wzajemnej pracy, wywoływanie zamętu wśród społeczeństwa, dezorjentowanie go, a nadto zmuszanie często do nadmiernych wysiłków młodzieży, jeśli się już pominie podcinanie autorytetu poszczególnych stopni szkół.

Takich przykładów przytoczyćby można więcej. Ale czy wobec takiego stanu rzeczy możliwe jest naprawdę opracowanie sieci szkół powszechnych, średnich, zawodowych, albo pewne specjalizowanie naszych wyższych uczelni? A przecież ta ustawa o ustroju szkolnictwa ma zasadnicze znaczenie jako regulator życia. Odpowiednie ustopniowanie szkół i określenie ich kompetencji i zależności umożliwi i z czasem dokona selekcji uzdolnień, opierając się zaś na dobrej znajomości potrzeb społeczeństwa będzie ono te wszystkie potrzeby zaspakajało, co więcej wpłynąć i może i musi na dobór i odpowiednie przygotowanie do zawodów, zapewni zatem społeczeństwu chleb. Dziś niestety jesteśmy świadkami daremnych, jednostronnych wysiłków. Jedynym ideałem dzisiejszego społeczeństwa, to wciąż tylko ukończenie szkoły średniej ogólnokształcącej, co dla wielu staje się niestety tragedją życiową. Co gorsze, taką tragedją dla wielu staje się dziś również dyplom uniwersytecki, kiedy szkoły zawodowe, pozbawione ustopniowania, umożliwiającego w pewnych kategorjach przechodzenie coraz wyżej, zaludniają się z trudem i dla większości społeczeństwa są wciąż jeszcze degradacją społeczną, do czego bezwarunkowo przyczynia się również i brak nacisku ustawowego, któryby podniósł autorytet szkolnictwa zawodowego przez określenie uprawnień a zakaz przyjmowania do pracy zawodowej na wszystkich stopniach ludzi niefachowych.

Poruszenie tych zagadnień sprowadza nas jednak na nowy teren, również związany z ustawą zasadniczą o ustroju szkolnictwa i władz szkolnych. Zaznaczyliśmy brak zainteresowania się istotnemi zagadnieniami szkolnemi przez ciała ustawodawcze, podobnie przez społeczeństwo, dla którego wystarczającemi danemi są wywiady dziennikarskie, ale które wobec tych wywiadów milczy. Milczy w sprawach zasadniczych, bo w praktyce szkolnej, w codziennem życiu nie można społeczeństwu zarzucić bierności, przeciwnie działa ono żywo mniej lub więcej sprawnie w opiekach, dozorach szkolnych, w kołach rodzicielskich, radach opiekuńczych i t. p. organizacjach. Ale cała ta praca odbywa się w ramach obowiązujących rozporządzeń i przepisów, inicjatywa zamyka się w określonem kole zagadnień, do spraw zasadniczych dostępu społeczeństwo przy dzisiejszej organizacji szkolnictwa niema. Wobec tego przy braku zainteresowania się temi sprawami ciał ustawodawczych, które nie umieją nawet wyzyskać prawa inicjatywy, cały ciężar budowy szkolnictwa, programy, koncepcje, stosowanie ich i t. d. zwala się na barki ministerstwa, t. j. urzędników. Czy to jest dobre? Czy można żądać od najlepszych nawet fachowców w dziedzinie szkolnictwa, aby oni znali dokładnie przeróżne, tak różnolite dziedziny życia społeczeństwa, skomplikowane drogi tego życia, wahania, załamania i odchylenia? Czyż można żądać od nich encyklopedycznej znajomości stosunków i potrzeb i stałego śledzenia tak różnorodnych przejawów, kiedy nadto niedostateczne określenie kompetencyj poszczególnych instancyj zawala ich biurka tysiącami spraw, papierów ważnych i nieważnych? Czyż można się dziwić, że czasem wśród tej pracy mimo wszelkich usiłowań, kontakt ze społeczeństwem staje się słabszy, a pewne teoretyczne założenia otrzymują pierwszeństwo? Chodzi zresztą o to samo, co w innych dziedzinach, pomijam już kwestję, że i w innych państwach, uznano za pożyteczne i konieczne, o Naczelną Radę Wychowania, złożoną z przedstawicieli przeróżnych sfer społeczeństwa, któraby informowała przedewszystkiem, ponadto dawała inicjatywę, a w wielu wypadkach decydowała o przedłożonych projektach. Wszak jest taka rada gospodarcza i kolejowa. W ten sposób ten żywy kontakt ze społeczeństwem ożywiłby się, uzyskałoby się nadto obok informacyj krytykę, obok krytyki pomoc, wkroczyćby można w przeróżne dziedziny, dziś siłą rzeczy niedostępne, możnaby zaś przedewszystkiem spojrzeć na sprawy szkolne jako na cząstkę tej olbrzymiej budowy społecznej, której one są podstawą, ale od której są też zależne. Dziś coraz częściej słyszy się głosy, dopominające się tej Rady Wychowania, głosy słuszne, o ile jednak instytucji tej zapewni się możność działania, a nie stworzy się z niej tak niedołężnego i pozbawionego egzekutywy ciała, jakiem się okazały Rady Szkolne Okręgowe.

Sprawa zaś Rad szkolnych okręgowych, które zawiodły pokładane w nich nadzieje i które tracą rację bytu wobec sejmików wojewódzkich, zajmujących się również sprawami oświatowemi, a posiadających egzekutywę, zwraca uwagę na konieczność rewizji dotychczasowych nielicznych ustaw. Ta rewizja powinna przedewszystkiem zdecydować kwestję centralizacji czy decentralizacji ustroju szkolnego, uprawnień autonomicznych kuratorjów szkolnych i określić zależnie od tego ich zakres działania. Dziś panuje zasada prawie bezwzględnej centralizacji tak, że zakres działania władz szkolnych II instancji jest bardzo ograniczony, brak zaś ustaw powoduje, że rola ich w większości wypadków kończy się na pośrednictwie i opinjowaniu, zakres decyzji jest zbyt szczupły. Stan taki z jednej strony osłabia celowość istnienia Kuratorjów, opóźnia załatwianie spraw, odbiera samodzielność działania, z drugiej zaś strony niepotrzebnie obarcza ministerstwo szeregiem spraw, które uniemożliwiają mu wzgl. utrudniają spełnianie jego istotnych, kierowniczych zadań. Rzecz tę unormowałoby już w wielkiej mierze wydanie szeregu niezbędnych ustaw, ale zasadnicze rozstrzygnięcie roli, jaką spełniać winny Kuratorja, czy w wielu wypadkach inspektoraty i rewizja dotychczasowej tymczasowej ustawy jest rzeczą konieczną, niecierpiącą zwłoki. Nawiasem przy tej sposobności wspomnieć należy, że tę zależność władz drugiej instancji od ministerstwa (względnie od kuratorjów) i tę tak częstą zbędną pisaninę i te najrozmaitsze nieporozumienia powoduje zbyt często redakcja samych ustaw, zawiła, niejasna, umożliwiająca różnorakie interpretowanie, niejednokrotnie nie zdająca sobie sprawy z możliwych konkretnych wypadków, daleka od prostoty i jasności, a wymagająca prawie zawsze całego aparatu urzędniczego. Pomijam już to, że brak sił odpowiednio wykwalifikowanych również powoduje przeróżne komplikacje w wykonywaniu nielicznych ustaw i znacznie od nich liczniejszych rozporządzeń wykonawczych, wyjaśnień i interpretacyj, o których niestety często rozstrzygać musi aż Trybunał administracyjny. Zaznaczyć przy tem należy, że między innemi te właśnie względy stały się motywami dla wielu w sprawie likwidowania lub reorganizacji władz drugiej instancji i reformy administracji wogóle w związku z sanacją skarbu, niestety, wszystkie te zamierzenia gdzieś zaginęły i do dziś dnia w szkolnictwie poza uniezależnieniem szkół średnich w dziedzinie wydatków rzeczowych od skarbu państwa i poza redukcją personalną tak urzędników jak nauczycieli, a nawet szkół (jak np. preparand) i klas i poza redukcją płac nie uczyniono nic, coby wpłynęło na uproszczenie zawiłej biurokracji, zwłaszcza w dziedzinie administracji finansowej, którą nadmiernie obciążono wszystkie instancje szkolnictwa, uniemożliwiając im niejednokrotnie spełnianie istotnych, pedagogicznych i dydaktycznych zadań. Wielkie zamierzenia ciał ustawodawczych, na które społeczeństwo czeka od pół roku, spłonęły słomianym ogniem.

Te wszystkie, tylko w streszczeniu podane motywy, wypływające tak z potrzeby chwili, zwłaszcza z konieczności, wynikających z sanacji skarbu, jak też z przyczyn zasadniczych, dostatecznie udowadniają, zdaje się, konieczność wyjścia w dziedzinie szkolnictwa (a może nietylko szkolnictwa) z okresu tymczasowości, opracowania natomiast szeregu ustaw, któreby unormowały szkolnictwo w Polsce, a przez swe jasne, proste i przewidujące ujęcie spraw ułatwiły życie i pracę setkom tysięcy ludzi.

nik.

Z powodu artykułu „Nowa cywilizacja"

Autor artykułu „Nowa cywilizacja" stawia śmiało tezę o posłannictwie Polski wśród narodów, wznawia „mesjanizm" naszego okresu „romantycznego", Polaków przyszłości przedstawia, jako apostołów Nowej Cywilizacji.

W dziejach świata jedno tylko chrześcijaństwo odegrało tę rolę i odgrywa wciąż (O. O. Oblaci). Z poświęceniem własnego życia, krok za krokiem zaświadczyli męczennicy (po grecku słowo martyr znaczy świadek), iż gotowi są zginąć za ideę. Do tego bohaterstwa uzbrojeni byli w siłę i wiarę, jaką dać może autorytet moralnie niezłomnego.

Jeżeli Polska ma odegrać rolę, jaką jej przypisuje autor „Nowej cywilizacji", jaką winna ona być, jakiemu winna ona podlegać autorytetowi moralnemu, — niech odpowie jeden z największych, najtrzeźwiejszych i najgłębszych umysłów świeckich polskich z końca XIX stulecia, Stanisław Szczepanowski.

* * *

...„Prąd światowy chrześcijaństwa zawitał do nas w wieku X, a do Litwy w wieku XIV, w postaci zaboru niemieckiego.

Niemcy zwyciężali, dopóki byli w wyłącznem posiadaniu tej broni duchowej, której im dostarczyło chrześcijaństwo. Zwycięstwo się odwróciło w chwili, gdy Polska i Litwa zamiast beznadziejnego hasła: „precz z kosmopolityzmem", sprzymierzyły się z chrześcijaństwem i utworzyły kościół narodowy chrześcijański. Odtąd ta wielka siła światowa działała na naszą korzyść i potęgowała nasze własne siły narodowe. To jest jedyny wzór, godzien naśladowania wobec każdego prądu światowego, czy on się pojawia na polu religijnem, naukowem, artystycznem, ekonomicznem lub społecznem. Jedynem zadaniem będzie zawsze przyswoić sobie siły nowego prądu, bez zatracenia indywidualności narodowej, — zapanować nad nim, a nie stać się ślepem narzędziem innych narodów lub organizacyj...

* * *

...Cechą wybitną obecnych czasów jest odrodzenie się wszędzie myśli chrześcijańskiej i przewaga wpływu uczuć nad racjonalizmem. Nawet w odrodzeniu się chrześcijaństwa można dopatrzeć się przewagi formy uczuciowej, t. j. katolicyzmu nad formą racjonalistyczną, t. j. protestantyzmem. Wątpić nie można, że w całości prąd ten jest dla nas korzystnym, ale i wobec niego należy zastosować naszą samodzielność narodową, ażeby Polska nie stała się znowu, jak za dynastji Wazów, ślepem i nieświadomem narzędziem kosmopolitycznej polityki...

* * *

...Polska była i jest narodem katolickim. Są Polacy innego wyznania, najlepsi patrjoci nieraz do nich należą. Na Śląsku austr. ruch narodowy rozpoczął się u protestantów. Kalwin Potworowski był długoletnim przywódcą narodu polskiego pod zaborem pruskim; mamy patrjotów żydów w Warszawie. Z tem wszystkiem, oczywistem jest dla każdego, kto ma oczy, ażeby widział, że Polska, jako naród, jest katolicką — staje się coraz bardziej katolicką. Jeżeli głębokie przyczyny psychologiczne nie dopuściły u nas do reformy religijnej w XVI wieku, to stokroć bardziej myśl podobna jest wykluczona w XIX lub XX wieku. Polska więc i nadal będzie katolicką, albo jej nie będzie. Twierdzenie to można przyjąć jako pewnik. Polityk lub mąż stanu polski, któryby tego pewnika nie uznał, **musiałby chyba wyjść z potwornego założenia, że społeczeństwo może się rozwijać bez religji** (podkreślenie St. Szczepanowskiego) — ale w tej chwili stanąłby nietylko poza obrębem własnego narodu, ale też poza obrębem ogólnego doświadczenia całej ludzkości.

Polska więc będzie katolicką i będzie w przyszłości dzieliła losy katolicyzmu, tak samo, jak je dzieliła w przeszłości...

* * *

...Bo przecie w myśli religji katolickiej, to jest uniwersalnej, religji obejmującej całą ludzkość, jest coś wielkiego i wzniosłego, coś, co jest siłą nieprzepartą, zniewala wszystkie wyższe umysły. Tak, jak za czasów Bossueta, tak i dzisiaj, każdy, kto się rozglądnie **w protestantyzmie** dostrzeże tam sekty, sekty bez liku, szacowne, użyteczne, pobożne — **ale nic, coby mogło zasłużyć na nazwę** kościoła powszechnego, **kościoła ludzkości** (podkrślenia St. Szczepanowskiego).

Ta idea wyższa, **która stanowi zagadkową siłę** żywotną katolicyzmu, tak jak pociąga dzisiaj, tak samo pociągała za czasów powstania reformacji. Cechą tego odrodzenia jest fakt, że tak samo, jak Erazm, Montaigne i Zamojski byli to ludzie świeccy, a pomimo tego wysoko się wznosili, tak wszyscy główni twórcy obecnego odrodzenia religijnego, a mianowicie katolickiego, także byli świeccy...

W tej wyższości pierwiastka świeckiego, która się pojawiła od pewnego czasu, okazujemy tylko wyższość prawdy życiowej nad subtelnościami teologicznemi...

Każda ważna chwila wymaga czynów a nie teorji i to czynów dostosowanych do potrzeb chwili. Siła chrześcijaństwa, a mianowicie katolicyzmu, polega właśnie na łatwości takiego zastosowania się do potrzeb chwili.

W tej jego zmienności, w tej elastyczności historyk widzi zaletę, a tylko skostniali teologowie uroili sobie jakiś nieistniejący, skostniały kościół, ten sam zawsze wszędzie... **Historja rzeczywistego rozwoju religji przedstawia się jako szereg zdobyczy nowych dogmatów życiowych** (podkreślenie St. Szczepanowskiego).

...**Objawienie narodowe polskie** — objawienie Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Cieszkowskiego — **wniosło do kościoła ideę Ojczyzny, jako świętości,** narówni ze świętościami dawniej uznanemi. Naród Polski słusznie łączy wyobrażenie religijne ze zbawieniem swej ojczyzny ziemskiej i ze zwycięstwem sprawiedliwości bożej w stosunkach narodowych i społecznych..."

* * *

Dzisiejsze położenie Polski, stojącej, oczywiście, na szańcach broniących kulturę chrześcijańską od nawały azjatycko - bolszewickiej, jak również twardo sprzeciwiającej się doktrynie „siła przed prawem" od zachodu, naszemu narodowi pozostawia nadal rolę historyczną „mesjanizmu" i nakłada obowiązek jeżeli nie stworzenia, to w każdym razie odrodzenia cywilizacji na zasadach chrześcijańskiego katolicyzmu i wierzyć musimy z autorem „Now. cywiliz", że „Polska wypracuje nową cywilizację, którą roznieseie po Wschodzie..." — tylko, że rzeczywiście „rozkład sam zmusza już nas do uświadomienia i usamodzielnienia", w oparciu o niewzruszony autorytet moralny nauki Chrystusowej.

Inż. K. F.

Rynek pieniężny i giełda

Okres sprawozdawczy przyniósł wraz z uspokojeniem się umysłów, dość znaczną poprawę sytuacji walutowej. Powolny ale systematyczny powrót do normalnych stosunków wewnętrznych odbił się korzystnie na kształtowaniu się kursu złotego na rynku prywatnym.

Spekulanci walutowi, widząc, że polityka skarbowo-finansowa zmienioną nie została że w dalszym ciągu główny nacisk położono na oszczędnościach i eksporcie, że zapas walut Banku Polskiego z dnia na dzień rośnie, że podatki dość normalnie wpływają — zatrąbili na odwrót, zwłaszcza, że spekulujące banki jako też zawodowi „waluciarze" nie dysponują naogół tak wielkimi środkami gotówkowemi, ażeby iść ciągle w kierunku „haussy". Pozatem dla ludzi, żyjących ze spekulacji jest rzeczą obojętną, czy jest „haussa", czy też „baissa" — gdyż zyski mogą ciągnąć z jednej i drugiej.

Za dolary, notowane w ubiegłą sobotę rano na „czarnej giełdzie" 11,80 — płacono wieczorem tylko 11,70, w niedzielę 11,75, w poniedziałek 11,65—11,55, we wtorek 11,50—11,40, w środę 11,35—11,40—11,55 — przy znowu wzmocnionej tendencji. W czwartek notowano dolar 11,65—11,75.

Obrót dzienny na giełdzie oficjalnej nieco się zwiększył; Bank Polski jednak nie pokrywał zapotrzebowania przemysłu i handlu także i teraz w dostatecznym stopniu, zmuszając tem samem sfery gospodarcze, mające do uregulowania płatności zagraniczne — do poszukiwania walut na rynku prywatnym.

Dewizę na New Jork i dolary notowano początkowo 11,10, we wtorek i środę 11 zł.

Ruble złote nabywano ostatnio po 6,08, co odpowiada stosunkowi 11,60 za 1 dolar przy parytecie złota 52,50.

Waluty i dewizy europejskie wykazywały znaczniejsze wahania, ze względu na skoki swoje na rynku międzynarodowym.

Funt angielski osiągnął w ubiegłą sobotę na giełdzie nowojorskiej nienotowany od czasu wielkiej wojny — kurs 4,86¾. Przyczyny tej niezwykłej i zupełnie niespodziewanej zwyżki należy szukać w środkach zaradczych, jakie poczynił Bank Angielski w przewidywaniu długotrwałego strejku, mogącego spowodować pogorszenie się angielskiego bilansu płatniczego i znaczniejszy odpływ złota.

Naczelna instytucja angielska rzuciła więc przedewszystkiem na rynek wielkie ilości dewiz zagranicznych, powodując katastrofalną zniżkę walut obcych, zwłaszcza nie pełnowartościowych i wykazujących stałe wahania, skłoniły sfery gospodarcze do natychmiastowej realizacji ich pretensji zagranicznych i intensywnego ściągania walut eksportowych oraz zakupiła większą część nadeszłych ostatnio do Londynu przesyłek złota afrykańskiego. Strajk tymczasem, jak prędko przyszedł, tak też i przeminął, wzmocniwszy jeszcze bardziej prestige Anglji, a zarządzenia rządu i Banku Angielskiego, poczynione z powodu strajku, wzmocniły mimowoli potężnie walutę angielską.

Lir włoski, który od pierwszych dni maja trzymał się na mocnym, niezmienionym prawie poziomie, zaczął począwszy od 7 b. m. gwałtownie spadać i odzyskał pomimo energicznego wystąpienia ministra finansów Volpi przeciw spekulantom wewnętrznym i zewnętrznym — zaledwie tylko część poniesionych strat.

Czerwoniec sowiecki nie może dotychczas poprawić się po doznanej w kwietniu derucie i wszelkie zarządzenia sowieckiego komisarjatu finansów w kierunku ograniczeń kredytowych, celnych i walutowych nie odniosły większego skutku.

Frank francuski, notowany dnia 19 maja w Zurychu 14,90, a w Londynie 168 za 1 funt szterlingów, 21 maja zaś w Zurychu 15,80, w Londynie 161, uzyskał dnia 25 maja w Zurychu kurs 17,25 za 100 fr., w Londynie 144,87 fr. za 1 funt szterlingów, 26 notowano go nieco niżej. W ten sposób przypadła zwycięska ofenzywa franka francuskiego przeciwko obcym dewizom równocześnie ze zwycięską ofenzywą wojsk francusko-hiszpańskich przeciw Ab-del-Krimowi, która skończyła się kapitulacją tego ostatniego.

Złoty wykazał na giełdach niemieckich lekkie wzmocnienie, na innych giełdach utrzymał się z małemi zmianami (słabiej w Zurychu) na niezmienionym poziomie.

Zwyżkę złotego w Berlinie, Gdańsku i Wiedniu przypisać należy tymczasowemu uspokojeniu się sytuacji wewnętrznej, jako też dość mocnej interwencji Banku Polskiego na wspomnianych rynkach.

Bilans Banku Polskiego z dnia 20 maja b. r. wykazuje wzrost zapasu złota o 34 tysiące złotych do sumy 134,31 milj. zł.

Zapas walut i dewiz zwiększył się o 1,2 milj. złotych brutto (54,7 milj. zł.). Zaliczki reportowe wzrosły o 149, zobowiązania walutowe i reportowe o 666 tysięcy złotych. Portfel wekslowy powiększył się o 1,2 milj. złotych, pożyczki zabezpieczone papierami wartościowymi o 106 tys. zł.

Obieg biletów bankowych powiększył się o 137 tys. zł., stan monet srebrnych i bilonu o 630 tys. zł.

* * *

Na warszawskim rynku akcyjnym przeważała tendencja słaba. Wielka część papierów przemysłowych i bankowych straciła po kilkanaście procent, co przy równoczesnym spadku wartości złotego wynosi znacznie więcej. Stosunkowo niewielkie straty poniosły papiery państwowe, listy zastawne i obligacje.

Na zebraniach panował nastrój ospały i apatyczny, obroty zaś dokonywano tylko naj bardziej popularnemi papierami. Nawet najwięksi optymiści giełdowi, którzy w całym okresie „baissy" nabywali akcje, ponieważ „były tanie", — wstrzymali się teraz od operacyj giełdowych.

Awil.

Teatry warszawskie

Trwająca od szeregu miesięcy walka o dalsze istnienie teatru im. Bogusławskiego, zakończyła się dość sensacyjnie. Magistrat warszawski, wiedząc, że teatru bronić będzie lewica, jako rzeczy przeznaczonej dla najszerszych warstw ludności, znalazł się w sytuacji dość trudnej: z jednej strony deficyt teatru Bogusławskiego (zgórą miljon złotych za sezon) stoi w sprzeczności z uchwałą rady miejskiej, iż niedobory wszystkich teatrów miejskich nie powinny przekraczać 1,800,000 złotych; z drugiej — okazuje się, iż frekwencja teatru Bogusławskiego jest większa niż innych teatrów miejskich. To też uchwała o zamknięciu teatru Bogusławskiego, która zapadła w magistracie już przed dwoma miesiącami, nie przerażała nikogo. Takie uchwały zdarzały się nieraz i były następnie kasowane przez radę miejską. Zabiegi lewicy sprawiły właśnie, że rada miejska zażądała od magistratu preliminarza pełnego budżetu wszystkich czterech teatrów, prowadzonych przez miasto, a więc i budżetu teatru Bogusławskiego. Podobne żądanie nie przesądzało jeszcze losów teatru Bogusławskiego, ale budziło nadzieje, iż uda się ten teatr ocalić.

Tymczasem magistrat powziął decyzję dość radykalną. Zrozumiawszy, że cztery teatry muszą, według kalkulacji dyrektora teatrów, przynieść conajmniej 3,600,000 zł. deficytu, postanowił zamknąć nietylko teatr Bogusławskiego, ale i teatr Letni. Uchwała w tej sprawie zapadła właśnie w magistracie w ubiegły wtorek. Zdaje się, że tym razem uchwała będzie wykonana. Złożyło się na to wiele okoliczności. Przedewszystkiem opinja publiczna domagała się oddawna, aby magistrat nie wchodził zbyt daleko w przedsięwzięcia teatralne, t. j. aby się ograniczył do prowadzenia dużych reprezentacyjnych teatrów stolicy — Opery i Narodowego. Cała prasa od kilku lat narzeka na wielkie deficyty teatralne, nie zdając sobie sprawy, że w deficytach tych zawiera się blisko miljon złotych wydatków, nie mających nic wspólnego z eksploatacją teatrów. Następnie budził szerokie dyskusje eksperymentalny charakter widowisk w teatrze Bogusławskiego, który, według zamierzeń magistratu, miał być teatrem powszechnym dawnego typu. Wreszcie kwestjonowano nieustannie prowadzenie przez magistrat teatru rozrywkowego (teatr Letni), który, jak mówiono, może być eksploatowany z takim samym wynikiem przez przedsiębiorcę prywatnego.

Tych wszystkich argumentów magistrat używał podczas dyskusji nad wnioskiem o zamknięciu obu teatrów. W gruncie rzeczy jednak chodziło o wykazanie mniejszego deficytu. Dokonano operacji mechanicznej i uwierzono, że sprawa ma szanse powodzenia wobec tego, iż ministerstwo spraw wewnętrznych domaga się zmniejszenia niedoborów teatralnych i wobec złożonego już wniosku o niezwłocznem rozwiązaniu warszawskiej rady miejskiej.

Zlikwidowanie dwuch placówek kulturalnych w stolicy wywołało niepokój w sferach artystycznych. Teatr Bogusławskiego ma kierowników wyjątkowo uzdolnionych i pracujących twórczo. P. P. Zelwerowicz, Schiller i Horzyca prowadzili ten teatr według programu ściśle określonego. Repertuaru współczesnego nie dotykali, natomiast w nowych inscenizacjach sztuk wielkiego repertuaru okazali pomysłowość niezwykłą. P. Schiller, inicjator tych widowisk i główny ich

„Pod słońcem szatana“

Sous le soleil de Satan: taki jest tytuł powieści, która się świeżo ukazała w Paryżu, — pierwszej powieści nieznanego dotych czas nikomu autora, Jerzego Bernanos'a, którego sława już jutro, z blaskiem zda się trwalszym, obiegnie obie półkule.

Znany krytyk francuski, Fryderyk Lefevre, redaktor bardzo rozpowszechnionego pisma *Les Nouvelles Litteraires*, który wsławił się swemi subtelnemi sylwetkami autorów w oryginalnie podjętych literacko - krytycznych wywiadach, p. t. *Une heure avec...* („Godzina z..."), po przeczytaniu tej książki pojechał rozgorączkowany na prowincję, gdzie mieszkał autor, odszukał go, i w tychże *Les Nouvelles Litteraires* umieścił sążnistą *Une heure avec Georges Bernanos, romancier*, prześcigającą pochwałami wszystko, co kiedy w ciągu swej czteroletniej pracy w tem piśmie napisał pochwalnego o najsłynniejszych pisarzach. Wydarzenie to jest niesłychane, zwłaszcza jeżeli się zważy, że autor ukryty nie zabiegał o rozgłos. Świadczy ono o bezinteresownym entuzjazmie krytyka, o jego czujności i dbałości o cześć genjuszu narodowego, o ciągłość wielkiej twórczości... U nas inaczej...

Pan Lefevre pisze: „Książka ta powinna być jutro w bibljotece każdego „rzetelnego człowieka..." Jest to dzieło o niezrównanej potędze dramatycznej i zdrowiu duchowem, tak koniecznem w tej anemicznej dobie powojennej... Odkrycie książki, wyposażonej w taką wartość i w taką miąższość, jest największą nagrodą, na jaką może zasłużyć krytyk... Nie ukryję, że czytanie znacznej części tej książki nie napoi nieraz słodyczą. Twierdzę jednak, że nie powinniśmy się żalić, jeżeli od czasu do czasu zasłużymy na łaskę odkryć podobnych do tego, czem było dla mnie pierwsze czytanie *Pod słońcem szatana*. Znajduję, że podziw jest jednem z uczuć najbardziej krzepiących, najbardziej zdrowotnych dla duszy. Daję tedy wszystkim rzecz piękną do podziwu. Oddycha się lepiej i wolniej, gdy się podziwia. Podziw jednak jest wtedy tylko żyzny, gdy jest oświecony... ...Że po czterech latach świadczę się nim tutaj, nie ważąc się nigdy dotąd na ton tak twierdzący, niech to będzie pierwszą rękojmią dla mych czytelników... *Pod słońcem szatana* jest dziełem rzadkiej szlachetności: jest to dzieło człowieka wierzącego, ale które będzie dobroczynne dla wszystkich ludzi, wierzących czy niewierzących. Sztuka nie ma ani stronnictw, ani wyznań".

Oto kilka zdań tylko z olbrzymiego dytyrambu p. Lefevra na cześć dzieła Jerzego Bernanos'a. Warto się bliżej przyjrzeć rzeczy, która taki zachwyt wzbudziła.

Że książka Bernanos'a — pierwsza książka autora — ukazuje się z doskonałym wyrazem sztuki: świetnością stylu, bogactwem i mocą wyrazu, dorównywającemi balzakowskim zasobom i środkom pisarskim, — że głębią i subtelnością psychologji, przeniknięciem w utajone pieczary podświadomości ludzkiej, prześciga nawet Balzaka i jego jasnowidzenia twórcze, — to, oczywiście, wiele, bardzo wiele, by podziw ten sobie u ogółu zaskarbić. Ale tego nie dosyć jeszcze, by w czasach dzisiejszych obudzić gorące zajęcie, by poruszyć uśpione sumienia, by móc wedrzeć się boleśnie i gwałtem w zasklepione nikczemnością dusze, i żywe tam życie, i godność tam człowieka wykrzesać. Na to trzeba czegoś więcej jeszcze.

Wielu dziś ludzi pisze świetnie i z mocą, prześcigając się w analizach psychologicznych, nie sprawiając jednak żadnej gruntownej odmiany w duszy czytelnika, nie ukazując mu, nie odbudzające w nim prawdziwego człowieka, zasadniczej jego godności, obowiązku obrazu Boga:

Są, jak wicher, uderzający w groby pobielane... Nie tu więc chwała twórcy *Pod słońcem szatana*.

W wywiadzie p. Lefevre'a autor sam nam odsłania ogrody, w których swój ideał hoduje — ideał człowieka i twórcy. Przyznaje się on, że Balzak był tym pisarzem, który wywarł największy wpływ na jego twórczość, zastrzega się jednak zaraz, że nie zaspakaja on w pełni jego potrzeb duchowych człowieka i pisarza. Wielki ten mocarz pióra był niewątpliwie najwrażliwszym z pisarzów na namiętności ludzkie, odtwarzał zagłębia duszy z przerażającą ścisłością, ale wszystko to dotyczyło tylko materji człowieka, prochów jego śmiertelnych. Nie docierał on do samego rdzenia żywego, do sumienia ludzkiego, gdzie zło się buduje odwewnątrz, przeciw Bogu i na sycenie śmierci, — rdzenia tego, którego równowagę naruszył grzech pierworodny. Poszedł on jaknajdalej w kierunku analizy, ale był niezdolny do najwyższego wysiłku syntezy. Dotarł do realizmu ludzkiego, ale nie wzniósł się do najwyższego realizmu, najbardziej ludzkiego, najogólniejszego — „realizmu katolickiego".

Widzimy więc odrazu — i zgóry to oświadcza autor — że stoi on mocno na gruncie katolickim — na gruncie metafizyki katolickiej w pojęciach o człowieku i życiu, w pojęciach o dobrem i złem. Chce on — i jest on twórcą katolickim w dziedzinie życia i sztuki.

Ale trzeba się dobrze porozumieć co do pojęcia „katolicyzm".

Katolicyzm — według autora — nie jest czemś zewnętrznem, religją i prawidłem tylko zewnętrznem, jest on nadewszystko zasadą wewnętrzną, jest samem życiem, osią żywotną człowieka, istotą jego, sumieniem.

Dla pisarza katolickiego — analiza namiętności winna prowadzić do poznania grzechu, do okazania jego źródła, do okazania jego grozy. Bez tego człowiek moralny staje się rychle potworem, literatura i sztuka — nędzną i bezcelową igraszką.

Wiek XIX, wyzwalając człowieka, umieszczając go pozą czujnem sumieniem i zadaniami zbawienia, uczynił z niego nakręcony sprawnie mechanizm, wygodnie byturjące zwierzę ludzkie.

Pojęcie katolickie zła, pojęcie djabła, wistoczonego w ziemską naturę człowieka, z którym trzeba ciągle bój toczyć, który jest całym grzechem pierworodnym, ciągłem przeciwieństwem sumienia i natchnień dobrych człowieka, — utraciło swą wagę wewnętrzną, stało się czemś przygodnem, zewnętrznem, z czem łatwo się uporać, co łatwo na swą korzyść wyrozumować i nawet wydrwić, ośmieszyć.

Sprowadzony został ten djabeł wewnętrzny — djabeł skażonej natury ludzkiej — do roli widza zewnętrznego, który tylko przyklaskuje człowiekowi lub gwiżdże. Człowiek z nim łatwo wchodzi w układy — wreszcie się uwalnia od niego, odchodzi od niego, żyje bez jego poczucia istotnego, żyje, jak zwierzę wolne. Sumienie duszy zamienia na instynkt zwierzęcy ciała. Dusza traci swój cel — swe przeciwieństwo sumienia. Kompas życia — rozmagnesowany.

Z usunięciem djabła — usuwa się morał, usuwa się sens istotny życia. Idzie precz moralista, zastępuje go higjenista, zastępuje piecza zwierzęca o ciało. Niema djabła — niema moralności — jest higjena!

Taka jest historja strącenia djabła w nowych dziejach z sumienia ludzkiego. Równa to się zatracie samego sumienia, samego celu istotnego życia, wyrzeczeniu się walki duchowej, wyrzeczeniu się godności boskiej, rezygnacji z człowieka-ducha na rzecz człowieka-zwierzęcia.

To, cośmy rzekli wyżej, jest wyrazem teoretycznym przekonań autora *Pod słońcem szatana*, wypowiedzianym w rozmowie z p. Lefevre'em. Rzecz oczywista, że nie występują one w samem dziele autora, ani jako doktrynerstwo, ani bynajmniej jako tendencja wyznaniowa. Książka jego jest dziełem sztuki, jest odbiciem absolutu, prześwietleniem życia blaskami jego wiecznemi. Jest ona poprostu — doskonałem i przepotężnem okazaniem objektywnem — rzecby epopeicznem — ideału człowieka chrześcijańskiego w zmaganiu się ciągłem i tragicznem ze złem, z djabłem swej natury skażonej. Że wybrany do tego został ksiądz — to tylko dlatego, że walka ta, dla okazania swej potęgi, musiała mieć teren najwłaściwszy, by tak rzec — zawodowy.

Przedstawiona zaś została ta walka poza wszelką tendencją klerykalną, owszem, nawet w pewnej kolizji z nią. Dwa inne typy księży są z rejestru miernych i letnich sług Bożych. Ten, który walczy z djabłem — to człowiek prosty, wzgardzony, samotny. Chce on jednego: żyć według sumienia chrześcijańskiego. Toczy straszny bój ze swym djabłem ciała, by urzeczywistnić ideał zrodzenia się nowego z ducha. W gorącości swej miłości i poświęceń dla ludzi gotów jest wyrzec się własnego zbawienia. W poczuciu bezwzględnego nie ustaje na chwilę w męce i rozpaczy. Biczowaniem zapomocą łańcucha odrywa kawałami swe ciało. Jest nieugięty w walce. Niema końca wyzuciu się, rozpaczy z powodu odległości wciąż ideału, dla którego już nawet sam oddech ziemski staje przegrodą. Bój trwa do końca — nawet na stopniach świętości i władz cudo-

organizator, zwalczał szablon realistycznej ekspresji i starał się przedewszystkiem o rytm i muzyczne elementy. W harmonijnym układzie scen, w plastycznem wydobywaniu gestów i znakomitem tonowaniu całości jest reżyserem pierwszorzędnym. P. Zelwerowicz, niezupełnie „zgrany" ze swym kolegą, umiłował od pewnego czasu stylizowaną groteskę i nakłania ku niej różne komedje niezupełnie słusznie. Ale i on szuka wytrwale nowych form teatralnych. Szkoda tylko, że praca w teatrze Bogusławskiego, bardzo sumienna i wytężona, szła w tempie bardzo powolnem. Niektóre przedstawienia szykowano po dwa miesiące, skutkiem czego frekwencja spadała niekiedy nadmiernie. Sezon otwarto w teatrze Bogusławskiego komedją Szekspira „Jak wam się podoba". Grano następnie: „Kapelusz słomkowy" Labiche'a, „Intrygę i miłość" Schillera, „Rewizora" Gogola, „Różę" Żeromskiego i „Cyrulika Sewilskiego" Beaumarchais'go. Obecnie teatr Bogusławskiego szykuje nową inscenizację „Nieboskiej". Nie wszystkie te widowiska zadowoliły krytykę i kwestjonowano styl niektórych. Wszystkie jednak opinje zgadzały się zawsze na jedno: że teatr Bogusławskiego jest najbardziej twórczą sceną w Warszawie. Zapał, jaki wniesiono tam do pracy, świadomość celu, bogactwo pomysłów, i rozpęd są gwarancją, że teatr ten, w tej czy innej formie administracji, zostanie utrzymany nadal.

Zupełną za to niespodzianką było zamknięcie teatru Letniego. Od dwóch lat, t. j. od chwili, gdy dyrekcję jego objął p. Emil Chaberski, teatr Letni stanął na dość wysokim poziomie artystycznym. Repertuar (oparty przeważnie na lekkiej komedji) ma żywy i interesujący, dobrze zorganizowany. Zespół, w którym są tacy artyści, jak Fertner, Ćwiklińska, Różycki, Brydzińska, Walter etc., zasilany jeszcze przez artystów teatru Narodowego, dawał widowiska pierwszorzędne.

Jeżeli dodamy do tego fakt, że teatr Letni niema niedoborów, zamknięcie tej miłej sceny staje się zupełnie niewytłumaczonem. Pada ona ofiarą teatralnej polityki magistrackiej, która ciąży nad teatrami od lat siedmiu.

Alfa.

Matylda Serao — apostołką pacyfizmu

Niezmiernie żałuję, że nie znając języka włoskiego, nie mogę przeczytać w oryginale ostatniej powieści wielkiej pisarki, Matyldy Serao, p. t. „Mors tua" (Medjolan 1926) i muszę z konieczności poprzestać na obszernych na szczęście recenzjach pism paryskich. Jest to bowiem książka niezmiernie ciekawa nietylko przez swą ogólnie stwierdzoną wysoką wartość literacką, ale również przez ostro zarysowaną tendencję pacyfistyczną.

Jeżeli tendencja ta zatrąca silnie o publicystykę, to nie należy się dziwić. Serao poza swą działalnością czysto literacką jest bardzo czynną dziennikarką a w przeddzień wojny odegrała nawet w prasie włoskiej nader wybitną rolę, prowadząc energiczną kampanję przeciwko interwencji swego kraju po stronie Ententy. Cenzura wojenna nie pozwoliła jej na dalszą propagandę pacyfistyczną, w której Serao starała się zostać włoską baronową Suttner, autorką słynnej książki — manifestu p. t. „Die Waffen nieder". Ale wojna minęła i Serao, której nienawiści do wojny nie stępiło bynajmniej zwycięstwo Włoch, podniosła z powrotem swój sztandar. I napisała powieść, która przeklina wojnę stokroć gwałtowniej, niż „Ogień" Barbusse'a i pisma Romain Rollanda. Bo też wobec tych dwu mężczyzn, których najsilniejsze nawet uczucia antywojenne przenika zawsze pewien czynnik refleksji, mamy tu kobietę w najznamienniejszem tego słowa znaczeniu, kobietę wyłącznie czującą i nie umiejącą analizować swych instynktów. Ta niemiarkowana refleksją emocjonalność Matyldy Serao sprawia, że powieść jej, czyniąca niemałe wrażenie potęgą swej dramatyczności, nie wytrzymuje jednak krytyki chłodnego rozsądku.

„Mors tua" podzielona jest na trzy „dni": przed wojną, podczas wojny i po wojnie. Część pierwsza maluje rzekomy antywojenny nastrój społeczeństwa włoskiego przed wystąpieniem Włoch. Matka Fausta Ardore przeklina swego syna za jego propagandę patrjotyczną i interwencyjną. Druga matka, Antonia Scalese, nie widzi zupełnie celu, dla którego jej Gianni wyrusza na wojnę; idea ojczyzny dla niej nie istnieje. Adwokat rzymski, Camillo Moles, idzie na dworzec, skąd ma pojechać na front, przemykając się pod murami kamienic, jak człowiek, który popełnia czyn haniebny. To są ludzie z inteligencji. A sfery niższe? Właściciel kiosku z dziennikami bluźni Bogu, podnosząc ku niebu groźną pięść...

Przychodzi wojna ze wszystkiemi swemi potwornościami. Krew leje się bez miary, a ci z bohaterów książki, którzy przed wojną widzieli rację i cel straszliwej hekatomby, teraz popadają w ten sam nihilizm narodowy, co inni. Patrjota Fausto Ardore, straciwszy w boju brata, traci również wiarę w swe dotychczasowe ideały. Guido Soria, zachęcany przez swego dziada, weterana z pod Custozzy, do bezlitosnego mordowania Austrjaków, znajduje na piersiach zabitego przez siebie oficera fotografję jego narzeczonej i — wybucha rozpaczą i buntem przeciw patrjotyzmowi. Ale nie tu jeszcze koniec zbrodniczej niemoralności wojny. Najcnotliwsze żony, rozłączone z mężami, oddają się innym. Córki, pozbawione opieki ojców, obierają złą drogę. Nawet księża pozbywają się miłości bliźniego i jeden z nich, służąc w wojsku, jako sanitarjusz, żąda od oficera zapłaty za przeniesienie poległego z pola walki, gdyż nie chce za darmo służyć tym, którzy posłali go na rzeź...

Przychodzi „dzień" po wojnie. Włosi pobili nieprzyjaciela, ale zwycięstwa niema. Są tylko ruiny, wyrzuty sumienia i morze krwi, niepotrzebnie przelanej. Fausto Ardore nazywa się Kainem. Ksiądz stracił wiarę i woła, że wobec okropności wojny Opatrzność Boska jest kłamstwem a światem rządzi Szatan. Sprzedawca dzienników topi się w Tybrze. Adwokat Moles, który napróżno szukał śmierci w bitwach, przekonywa się po powrocie do domu o niewierności swej żony i zabija ją, on, który nie chciał zabijać wrogów ojczyzny...

Matylda Serao nie przesadziła ani trochę, odmalowując przy pomocy swego potężnego talentu okropność i niemoralność wojny. Tak, wojna jest zbrodnią, — ale to dopiero jedna strona problemu. Drugą jest miłość ojczyzny, której nakaz obrony własnego kraju przed najazdem wroga jest etycznie najzupełniej usprawiedliwiony i tkwi głęboko w duszy każdego człowieka. Serao, z tak krzyczącą jednostronnością upraszczając całe to tragiczne zagadnienie, nie oddała swą powieścią przysługi prawdziwemu pacyfizmowi. Albowiem pacyfizm, aby był ideą żywotną a nie pustą i to antypatyczną doktryną, nie może przeciwstawiać się tak wrodzonemu naturze ludzkiej, tak istotnemu uczuciu, jak miłość ojczyzny. To też tendencja książki Serao, że do pokoju należy dążyć nawet po trupie ojczyzny, jest równie niemoralna, jak znana maksyma Moltkego, że wieczysty pokój jest mrzonką i to nawet nie piękną. Ideałem będzie oczywiście coś w pośrodku między obu tymi extremami: patrjotyzm w połączeniu z pacyfizmem. Droga do tego ideału jest niewątpliwie ciężka, ale nie wynika z tego, że należy popadać w jednostronność. Albowiem „pacyfizm" doktrynerów, budujących swą teorję na fałszywych fundamentach, jest największym wrogiem pacyfizmu.

Dr. Ignacy Wieniewski.

twórczych, na które się wznosi bezwiednie bolesny ów tytan chrześcijański — Prometeusz chrześcijańskiego sumienia! Umiera w konfesjonale, chory i z rozpaczą nad grzechami ludzkiemi, nad plonem dzisiejszym szatana. Męczennik i święty do końca.

Książka tedy jest obrazowem potężnem okazaniem zadania naczelnego człowieka na ziemi, krwawem *memento*, — krwią sutą męki i miłości, rzuconą w twarz dzisiejszemu roztańczonemu, rozsportowanemu i znikczemniałemu pokoleniu, wszystkim płytkim zadaniom i wygodom zwierzęcego życia, za uchybienie istotnego celu, godności jedynej człowieka — pracy z ducha, dla zradzania się wzoru nowego — dla zradzania się wzoru bożego!

Wobec potęgi okazania tego celu, tej godności uchybionej przeznaczeń człowieka, cała literatura dzisiejsza, w porównaniu z tą książką, jest czemś banalnem i zgoła bezcelowem. I to jest bezsprzecznie wielkością tego dzieła.

Oto jest apostrofa w książce, jedyna może liryczna, która wyrywa się boleśnie z ust autora, karząc dzisiejszą bierność ludzką w stosunku do wielkiego zadania życia. Apostrofa ta następuje po obrazie strasznego biczowania się księdza Denissona, owego tragicznego zapaśnika z djabłem. Maluje ona duszę autora i brzmi tak:

„O, wy, którzyście znali na świecie tylko barwy i dźwięki bez istoty, — serca wrażliwe, usta liryczne, w których cierpka prawda rozpuszcza się, jak pomadka, — małe serca, małe usta — to nie jest dla was zgoła! Wasze djabelstwa są na miarę waszych nerwów wiotkich, mózgów waszych układnych. Szatan dziwnego obrządku waszego jest li obrazem waszym odwróconym, bo kto się oddaje światu cielesnemu, ten sam jest sobie szatanem. Potwór patrzy na was, śmiejąc się, lecz szponu swego nie nałożył na was. Niemasz go w waszych książkach gadatliwych, ani też w waszych bluźnierstwach, w przekleństwach waszych śmiesznych. Niemasz go w waszych spojrzeniach chciwych, w waszych rękach zdradzieckich, w waszych uszach, pełnych wiatru. Napróżno szukacie go w ciele najskrytszem, jakie nędzna wasza żądza przenika, nie nasycając się, i usta, które kąsacie, dają tylko krew mdłą i wyblakłą... Ale jest on jednakże... Jest on w modlitwie Samotnika, w jego poście i w jego pokucie, w żłobie najgłębszej ekstazy i w ciszy serca... Zatruwa on wodę chrzcielnicy; płonie w wosku święconym, dyszy w oddechu dziewic, rodziera włosienicą i dyscypliną, kazi wszelką drogę. Widziano go kłamiącego na ustach półotwartych do obdzielania słowem prawdy, prześladującego sprawiedliwych, pośród grzmotu i błyskawic zachwytu ubłogosławiającego — i aż w ramionach samego Boga... Pocóżby spierał się on o tylu ludzi na ziemi, po której płazają oni, jak zwierzęta, czekając, by jutro nakryła ich ona?... Stado to ciemne idzie samo ku swemu przeznaczeniu... Nienawiść jego jest zachowana dla świętych".

* * *

Suta książka Bernanos'a składa się z trzech części. Pierwsza — prolog, zatytułowany *Mouchette* (muszka), organicznie tylko luźno związany z dwiemi innemi. Okazuje on władzę szatana na szesnastoletniej dziewczynie, córce mieszczanina - piwowara, naturze bujnej i samowolnej, wychowanej bez religji i zasad moralnych. Uwiedziona ona zostaje przez miejskiego ladaco markiza i przez miejskiego lekarza. Ma zostać matką. Wtedy spotyka się z całą nikczemnością swych uwodzicieli, w szesnastoletniem dziecku budzi się demoniczna kobieta. Walczy ze sobą. Szatan nienawiści i zmysłów działać zaczyna... Zabija prawie bezwiednie jednego, ukrywa zbrodnię. Oświadcza ją potem drugiemu, nie mogąc znosić ciężaru sumienia. Gdy ów drugi jeszcze nikczemniejsze wobec jej miotania się duchowego okazuje oblicze, dostaje w jego obecności obłędu. Po pół roku wyszła ze szpitala zdrowa, urodziwszy dziecko. Zbrodnia zabójstwa nie wyszła na jaw. Żyje z jej tajemnicą — aż do spotkania się w drugiej części powieści z księdzem - zapaśnikiem...

Rzecz ta, z kryminalistyczną, jak widzimy, dość zwykłą osnową, odtworzona została z takiem mistrzostwem wgłębienia się w duszę, w najtajniejsze jej skryki, we wszystkie odcienie walczących w niej dwu światów: świadomego i podświadomego, z takiem niebywałem dotychczas w literaturze francuskiej bogactwem jasnowidzenia, że sama przez się, jako opowieść, mogłaby już utrwalić sławę autora. Ale to tylko przegrywka.

Dwie drugie obfite części: *Kuszenie rozpaczy i Święty z Lumbres* są już dziejami bolesnemi księdza Denisson'a, najprzód jako wikarego, potem jako proboszcza. Wypadków zewnętrznych mało — tyle tylko, ile potrzeba tła do uwypuklenia tej duszy tragicznej. Wszystko się dzieje wewnątrz tej duszy, jak w wulkanicznych pokładach ziemi. Przy czytaniu tej książki, zacierają się kontury zewnętrzne osoby tej bolesnej. Wytaczają się z niej całe góry lawy żywej, gorącej, i rozrastają się do niepomiernych ogromów. Po przeczytaniu — kontury wracają do zwykłej rzeczywistości i tem potężniej ją przedstawiają z całym światem ukrytym pokładów wrących.

Najważniejszym momentem tej kroniki wewnętrznej jest błądzenie wikarego w noc ciemną śród złomów kamiennych okolicy w podróży na mszę ranną do parafji sąsiedniej. Ukazuje mu się tam, zbitemu z tropu i zataczającemu w ciemności omackiem wciąż ten sam krąg, szatan w postaci miasteczkowego rajfura, handlarza koni. Mniejsza z tem — czy to halucynacja, czy sobowtór, czy rzeczywistość. Chodzi tu o stan duszy, o odbywającą się w niej walkę przełomową, o przeobrażenie się tej duszy. Podobnej potęgi obrazowej w otworzeniu wnętrza duszy nie wiem, gdzie trzebaby szukać.

O świcie wikary zbliża się do miasteczka. Śród złomów spotyka Muszkę, wracającą z jakiejś wyprawy nocnej. Przeobrażona dusza wikarego czyta z jej twarzy wszystką treść, którą ta zbłąkana w pieczarze swych myśli ukrywa. Czyta, jak z książki otwartej. Oznajmia jej zbrodnię i szczegóły tej zbrodni. Chce ją wyrwać ze szponów szatana. Ona z krzykiem ucieka rozpaczy i nienawiści. Szatan działa. W domu rozpacz dobiega kresu, gdyż w nienawiści swej czuje po raz pierwszy — że kocha. Niema dla niej zbawienia. W szale podrzyna sobie gardło. Konając woła księdza. Chce umrzeć na progu kościoła. Miota się i szaleje.

Przybywa do konającej wikary — ten sam. Naraża się na skandal. W gorliwości swej, dbały tylko o jej duszę, o wydarcie jej szatanowi, porywa umierającą na ręce i zanosi ją na próg kościoła. Proboszcz — zgorszony i parafja z nim razem.

Potem idą dzieje świętości — bolesnej świętości, już na probostwie w Lumbres, świętości bezwiednej, ciągle ukrócanej, ciągle zaprzeczanej święcie. Wskrzeszenie dziecka... nowa rozpacz, nowe uderzenie szatana, który i tę chwilę skaził, spowodowawszy obłęd matki, gdy dziecko swe ujrzała żywe. Potem katusze spowiedzi — najstraszniejsze katusze duszy czującej, duszy litosnej, duszy na grzech bezradnej. Bezradność jednej łodzi śród oceanu grzechów...

Do chorego świętego zjeżdża sąsiad ksiądz z lekarzem. Chce gwałtem namówić go do kuracji. Spotykają się z przybyłym z Paryża akademikiem, głośnym pisarzem, cynikiem i libertynem, mistrzem, powszechnie hołdowanym, który przez ciekawość pisarską chce zobaczyć świętego — i może opisać — i wydrwić na zimno. Księdza nie znajdują w mieszkaniu. Wyszedł widocznie na przechadzkę. Idą go odnaleźć. Mistrz jednak pióra, jako już stary, czeka w pustym kościele, zbierając wrażenia. Dostrzega wreszcie trupa świętego w konfesjonale...

Tu słówko ciekawe z wywiadu p. Levevre'a. Na zapytanie krytyka: czy prawdą jest, że w postaci tego mistrza - akademika odmalował Anatola France'a, młody autor odpowiedział:

— Nie chciałem się ograniczyć na karykaturze Anatola France'a, ale — jeżeli tak mówią, tem lepiej. Powinno to zadowolić, zresztą rzadkich jego uczniów, w chwili gdy ich mistrz stacza się do obojętności, do zapomnienia tysiąc razy gorszego od pogardy. Dzieło jego jest nędzne. Mówią, że to igra tylko. Ale jaka igra? Igrać z nadziejami ludzkiemi, to oszukiwać głód i pragnienie ubogiego. Może jest dzisiaj na świecie ten czy ów nieszczęśnik, stworzony na to, by się krzepić pewnością, a który umiera w rozpaczy dlatego, że autor Thaïs miał dowcip, znał język. Nienawiść sama ustępuje przed rodzajem zgrozy świętej, gdy się pomyśli, że to strawianie nadziei służyło tylko po to, by dawać, w ciągu więcej, niż pół wieku, starcowi okrutnemu szczęśliwości profesora libertyna. Nie! nienawidzę go już. Chciałbym tylko użyczyć dla niego z Ewangelji przekleństwa, najbardziej tajemniczego: Lepiejby było, gdyby człowiek ten nie urodził się wcale".

Słowa te śmiałe młodego pisarza dzisiejszego, zdają się być murem twardym, oddzielającym dzisiejsze, odradzające się w wielkim celu życia pisarstwo francuskie, kierowane przez młode pokolenie, od starych form — niedowiarstwa, lubieży, cynizmu i estetycznych pokryw — egoizmu, pustki i grzechu.

Józef Jankowski.

Ogłoszenie.

Magistrat m. Łodzi oddaje z konkursu eksploatację kamienia w majątku „Łagiewniki" na Skotnikach na następujących warunkach:

1) płaca za eksploatowany kamień ustala się od sześć. metra;

2) wydobywany kamień winien być ułożony w pryzmy celem kontroli;

3) na dzierżawcy ciąży obowiązek zasypania dołów po wybranym kamieniu.

Oferty składać należy w Wydziale Gospodarczym do dnia 1 czerwca r. b.

Łódź, dnia 25 maja 1926 roku.

Magistrat m. Łodzi.

OBWIESZCZENIE.

Magistrat m. Łodzi podaje do publicznej wiadomości, iż zgodnie z § 2 Regulaminu targowego, dotyczącego targów na placach w m. Łodzi, zatwierdzonego uchwałą Rady Miejskiej Nr. IV z dnia 20 stycznia 1921 roku — handel na targowiskach miejskich: Rynku Wodnym i Zielonym oraz pl. Dąbrowskiego, z dnia 26 maja r. b. może się odbywać:

a) w miesiącach letnich (od dn. 1 kwietnia do dn. 30 września): we wtorki i piątki od godz. 5-ej do 17-ej w pozostałe dni od godziny 5-ej do 13-ej.

b) w miesiącach zimowych (od 1 października do dn. 31 marca): we wtorki i piątki od godz. 7-ej do 16-ej w pozostałe dni od godz. 7-ej do 13-ej.

Przewodniczący Wydziału Przedsiębiorstw Miejskich
Wiceprezydent: (—) **W. Wojewódzki.** Prezydent: (—) **M. Cynarski.**

Przymusowe licytacje.

Magistrat m. Łodzi — Wydział Podatkowy niniejszem podaje do publicznej wiadomości, że w dniu **2 czerwca r. b.** między godz. 9-tą rano, a 4-tą po południu odbędą się przymusowe licytacje ruchomości u niżej wymienionych osób za niewpłacone podatki:

1. Brudziński C., Piotrkowska 45, meble.
2. Brodaty M., Franciszkańska 15, kredens.
3. Brajtsztajn B., Konstantynowska 57, meble.
4. Birnbaum H., Szkolna 17, kredens.
5. Brauner M., St. Rynek 5, meble.
6. Bocian S., St. Rynek 13, kredens.
7. Borowiński St., Zgierska 53, maszyna do szycia.
8. Budkiewicz St., Franciszkańska 50/52, kredens.
9. Duszczyc M., Aleksandrowska 47, meble.
10. Eichler J., St. Rynek 6, 25 klg. skór.
11. Fridensztab L., Brzezińska 82, pianino.
12. Frydman N., St. Rynek 15, kredens.
13. Frenkiel S. B., Nowomiejska 21, kredens.
14. Grzesz M., Aleksandrowska 23, meble, 6 worków mąki.
15. Grzelik M., 6-go Sierpnia 10, meble, syfony do piwa, 15 stolików, 20 but. wódki.
16. Geldbard D., Aleksandrowska 23, meble.
17. Gruszczyński W., Młynarska 30, szafa, 30 par okien.
18. Gajsler M., 6 Sierpnia 10, szafa.
19. Goldsztajn H., St. Rynek 9, bufet 2 wagi.
20. Grynberg M., Al. 1 Maja 21, meble.
21. Gliksman i Herszkowicz, Nowomiejska 21, 40 mtr. sukna.
22. Grynbaum I., Nowomiejska 21, 10 sztuk towaru.
23. Halpryn I., Szkolna 17, meble.
24. Herszkowicz M., St. Rynek 12, kasa ogniotrwała.
25. Hochman S., Traugutta 5/7, zegar, kredens.
26. Hofman R., Wschodnia 51, zegar.
27. Ickowicz F., Zachodnia 29, rozmaite futra.
28. Jungster J., Traugutta 14, meble.
29. Kowalczyk J., Cegielniana 25, pianino.
30. Kasebuch A., Skwerowa 15, meble.
31. Kalkbrener P., 6-go Sierpnia 26, powóz, kasa ogniotrwała.
32. Krauskop E., Piotrkowska 31, meble, maszyna do szycia.
33. Kuperminc A., St. Rynek 12, różny towar w sklepie.
34. Kawka S., Franciszkańska 20, szafa.
35. B-cia Kryształ, Piotrkowska 24, pianino.
36. Kon E., Nowomiejska 21, garderoba.
37. Lenkiński L., 6-go Sierpnia 1/3, lustro.
38. Lewiński M. L., 6-go Sierpnia 30, zegar.
39. Lewin E., St. Rynek 4, meble.
40. Lubochiński H. i S., Podrzeczna 11, meble.
41. Lang A., Nowomiejska 21, meble.
42. Malczer A., 6-go Sierpnia 43, lustro.
43. Moszkowicz D., Nowomiejska 21, lustro.
44. Orenbuch W., St. Rynek 13, szafa.
45. Płudwiński T., Zachodnia 33, meble.
46. Rawiszewski A., Kopernika 35, pianino.
47. Rotbard M., Jakuba 6, pianino.
48. Rozenblum Ch., St. Rynek 6, szafa.
49. Stasiak P., Brzezińska 95, meble.
50. Szczupak L., 6-go Sierpnia 26, meble, 2 wagi.
51. Senator H., Brzezińska 7, meble.
52. Szatan N., St. Rynek 5, kredens.
53. Szwarcenberg A., St. Rynek 6, 3 bufety.
54. Sztajnhauer S., St. Rynek 6, szafa.
55. Stopczyk A., Profesorska 4, szafa.
56. Tajch A., Drewnowska 4, meble.
57. Tyger J., Konstantynowska 37a: meble.
58. Tygier N., Piotrkowska 38: meble.
59. Tobias H., Zgierska 12: meble.
60. Wiśniewski B., Moniuszki 5: pianino, kasa.
61. Wiślicki A., Pańska 12: meble, kasa ogniotrwała.
62. Wolf J., 6-go Sierpnia 10: kredens.
63. Wołkowicz I., 6-go Sierpnia 10: pianino.
64. Wiązowski A., Szkolna 17: pianino.
65. Winer Ł., Stary Rynek 11: urządzenie piwiarni.
66. Woskowicz St., Brzezińska 106: szafa.
67. Zacharjasz A., Plac Dąbrowskiego Nr. 3: meble.
68. Zylberszac H., Aleksandrowska 10: meble.

W dniu 4 czerwca r. b. między godz. 9-tą rano a 4-tą po południu:

1. Abramson M., Prez. Narutowicza 35: meble.
2. Alter, Sienkiewicza 2: waga, 6 rur, stary śrubsztak.
3. Altman I., 6-go Sierpnia 33: samowar, zegar, maszyna do szycia.
4. Biterman Ż., Sienkiewicza 15: meble.
5. Blum H., Zakątna 85: meble.
6. Benich J., Gdańska 89: meble, perskie dywany.
7. Brandes H., Senatorska 4/6: meble.
8. Besterman M., Sienkiewicza 4: meble.
9. Bilander I., Piramowicza 14: meble.
10. Bajgelman i Korngold, Moniuszki 1: 40 stolików.
11. Paszkowski H., Słowiańska 5: maszyna do szycia.
12. „Bławat Łódzki", Piotrkowska 265: rolwaga, bryczka, powóz.
13. Bielajew S., Piotrkowska 63: 40 kołder.
14. Berkenwald P., Sienkiewicza 22: garderoba.
15. Boksenberg I., Sienkiewicza 22: meble.
16. Celowa Z., Piotrkowska 182: kredens.
17. Danielewicz St., 6-go Sierpnia 102: meble, kasa ogniotrwała, maszyna do pisania.
18. Domanowicz R., Zakątna 85: meble.
19. Dresler W., Napiórkowskiego 100: meble, maszyna do szycia.
20. Działowszyński J., 6-go Sierpnia 35: otomana.
21. Dawidowicz P., Nowo-Zarzewska Nr. 7: meble.
22. Eichner B., Prez. Narutowicza 31: meble.
23. Fiszlewicz B., Piotrkowska 58: meble, rower.
24. Fajner A., 6-go Sierpnia 37: tremo.
25. Fajn J., Piotrkowska 200: meble.
26. Feliks A., Piotrkowska 37: zegar.
27. Gomuliński Z., Kilińskiego 97: meble.
28. Gnat P., Piotrkowska 56: meble.
29. Goldberg H., 6-go Sierpnia 33: meble.
30. Grynszpan H., Piotrkowska 70: zegar.
31. Globus B., Piotrkowska 37: kredens.
32. Gedanken A., Sienkiewicza 22: otomana.
33. Hirsz R., Gdańska 68: meble.
34. Hendeles D., Kilińskiego 44: meble, maszyna do szycia, pianino.
35. Jakubowicz S., Węglowa 10: meble.
36. Jakubowicz N., Zawadzka 3: 3 stoliki.
37. Jakubowicz A., Piotrkowska 37: garderoba.
38. Kasner O., Skierniewicka 3: orkiestron.
39. Kaliski M., Senatorska 25: tremo.
40. Klajnman H., Słowiańska 17: tremo.
41. Koplowicz J., Kilińskiego 134: 2 lustra.
42. Kielan St., Rokicińska 107: 10 korcy węgla.
43. Kon I., Pomorska 67: meble.
44. Koniarski G., Napiórkowskiego 77: meble.
45. Lindenfeld G., Piotrkowska 189: kredens.
46. Makówka P., Przędzalniana 107: 15 worków mąki.
47. Nierychlewski S., Rzgowska 100, zegar.
48. Openhajm M., 6-go Sierpnia 37, meble.
49. Paszczyńska B., Pańska 68, pianino, kredens.
50. Policka T., 6-go Sierpnia 35, 2 bufety, waga.
51. Poznerson J. D., Pańska 18, zegar.
52. Przybylski J., Nowokrótka 16, meble.
53. Russak D., Zawadzka 5, 4 stoliki.
54. Pakulska M., Sz. Pabjanicka 26, maszyna do szycia.
55. Rawski A., 6-go Sierpnia 37, meble.
56. Spiro H., Piotrkowska 66, meble.
57. Sztybbe J., Pańska 75, 20 worków mąki.
58. Szefner A., Narutowicza 43, meble.
59. Szefner I., Narutowicza 43, 3 kotły żelazne.
60. Szyfman M., Narutowicza 74, meble.
61. Szleser A., 6-go Sierpnia 33, tremo.
62. Szterlic Ch., 6-go Sierpnia 33, kredens, zegar.
63. Szyler J., Słowiańska 15, maszyna do fryzowania.
64. Szumiński W., Sosnowa 13, maszyna do pisania.
65. Stanicki I., Pańska 13, biurko, fotel.
66. Szrajber K., Nowokrótka 12, stół.
67. Szaniawski T., Piotrkowska 126, 5 stolików.
68. Timm E., 6-go Sierpnia 39, meble.
69. „Textylia", Wólczańska 73, 2 bele towaru.
70. Wilczyk G., Senatorska 28, 2 lustra.
71. Weber J., Żarzewska 25, meble.
72. Wynelski M., Gwiazdowa 16, komoda.
73. Zandberg J., Piotrkowska 152, meble.
74. Zalewski B., Sosnowa 8/16, meble.
75. Zarzewski Z., Pomorska 1, kredens, tremo.

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. | Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Ogłoszenia w tekście 40 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.* Odbito w Drukarni Państwowej, Piotrkowska 85